


Zeszyt pierwszy. Rocznik v. — 1872.

# BOŻA OPIEKA.

## POWIEŚĆ OSNUTA NA PODANIACH XVIII. WIEKU.

przez

***J. I. KRASZEWSKIEGO.***

> Nil timet adversi, quem servat
> rector Olympi...

Otóż tobie pociecha z tego nieszczęśliwego przybłędy, oto tobie pociecha — zawołał oburącz rwiąc się za siwe włosy gospodarz Hruzda, który wpadł do swej chaty i żonę zastał właśnie mieszącą chleb w dzieży. Jestto jak wiadomo jedna z tych chwil w życiu wiejskiej gospodyni, w których nawet głowa domu nie waży się zatrudnienia przerywać... Robota około chleba to prawie obrzęd uroczysty, nie cierpiący oka i wtrącania się profanów... Chleb, dar Boży, miał zawsze u nas poszanowanie jak największe; upuszczony na ziemię człowiek pobożny podnosił, ażeby go ludzie nogami nie deptali... kładziono go na stole chaty na czystym ręczniku jako oznakę błogosławieństwa Bożego w domu, a umarłemu bochenek dawano na trumnę. Gdy gospodyni miesiła go i w piec kładła, nie godziło się jej przeszkadzać. Mimo to Hruzda wpadł do chaty i krzyczał od progu — Ot tobie pociecha! ot go masz, twojego głupiego Janka, już znowu zmalował coś.. i bodaj że się wynosić będzie musiał.

— Co? co? co? — odwracając się spytała stara Hruzdzina — co ty tam już trąbisz a wywołujesz na Janka? co ci zawinił? Tobie byle pruszynka, zaraz z niej zrobisz wołu... a dziecko — toć dziecko..

— Ale mnie on nie zrobił nic — rzekł Hruzda rzucając się na ławę — a no sobie piwa nawarzył. Zawsze mu potrzeba wleźć gdzieś tak, aby się z paniczem zetknął. Ten go do zabawy wyzywa, a głupi Janek nie potrafi jak inne dzieci rozpieszczonemu jedynakowi uledz, tylko jakby sam był pańskiem dzieckiem.

— A co ty wiesz, kto on jest? — spytała Hruzdzina.

— Et, co tobie w głowie? Co ma być? Takie dziecko, co go się pozbywają a na cudze ręce dają, aby z oczu szedł, wielką rzeczą nie może być... jakiś tam grzech ma na głowie, to też mu się nie wiedzie, a i drugim z nim.

— Otoż bajesz... ot bajesz — przerwała Hruzdzina — Gdyby to prawda była, szczęściłoby mu się, a właśnie, że bieda z nim i koło niego, musi być poczciwie urodzony, tylko mu niepoczciwi krzywdę chcą uczynić.

— Babo, babo! — zawołał Hruzda — już ty siebie ani mnie nie durz.

— A no, cóż się stało? co? gadaj! — ocierając ręce z ciasta i wołając dziewki, aby ją wyręczyła, rzekła Hruzdzina, która stała przed mężem w postaci sędziego indagującego — Gdzież bo jest Janek?...

— Bodaj aby nie w rękach włodarza albo karbowego, bo go pochwycili do dworu... panicza pono bawiąc się trzasnął czy coś... Hruzdzina załamała ręce.

— A tyś go tak dał poprowadzić! — krzyknęła — i nie ujął się za dziecko, i nie ratował wychowańca! A tos bo już taki ciemięga...

— Dobraś ty! ja mam pod bizuny iść za przybłędę? Co ja się mam za cudze dziecko ujmować?

— A może niewinny... a toć smarkacz!—wołała Hruzdzina — czyż się godzi dopuścić, aby go katowano?

— No to idź ty i wyrwij z ich rąk swojego faworyta, bo że ja nie pójdę, to pewna. — To mówiąc Hruzda dla tem większego przekonania żony zrzucił z siebie sukmanę i czapkę, siadł za stół, łokcie oba oparł na nim i zamilkł.

Nie wiele też myśląc stara pomruczała coś pod nosem, pokiwała głową, zarzuciła na ramiona przyodziewek i wyszła... W ulicy zaczynało zmierzchać, a był wieczór poźnego lata, po świętej Annie, więc chłodnawy... Chmury dzienne układały się pasiasto do snu na widnokręgu... W wiosce słychać było wrzawę dnia kończącego się, skrzypienie studzien, ryk bydła, otwieranie wrót powracającym od robót w polu, i śmiechy dziewcząt idących z wodą do chat, i fujarki pastuszków... Chata Hruzdów stała w prądniku niemal przedostatnia od dworu. Dwór naówczas był niezbyt odległy w starych olchach i lipach, a od wioski przedzielała go droga sadzona wierzbami... Hruzdzina wyszła za drugą chatę i spotkała parobka, który biegł ode dworu.

— Za czém bieżysz? — spytała...

— Jegomość kazał łozy naciąć...

— Na co? — Pono waszego Janka rozumu uczyć będą — zaśmiał się parobek.

Hruzdzina chwyciła go za rękaw od sukmanki — Słuchaj Stach — szepnęła — dostaniesz séra i biały grosz odemnie, ino mi się z tą łozą nie spiesz. A gdzież dziecko poprowadzili? dokąd?

— A do dworu, włodarz za kołnierz pociągnął. Jegomość fuka i krzyczy, panicz płacze, termedye... Idźcie a spiesznie gosposiu... jeźli go ratować chcecie, bo inaczej to go wam srodze poturbują... Ja się zabawię... boć łozy dla samego pana trzeba naciąć porządnie i zgrabnie ją związać w pęczek...

Zerknął szydersko parobek, a Hruzdzina choć stara nogi znalazłszy, do dworu pobiegła co żywo. Już przed dworskim parkanem i wrotami słychać było wrzawę i lamenty... a najwyżej głos samego pana, który fukał aż się rozlegało.

— Ja ci tu pokażę, ty byczy synu jakiś, wołał, żebyś ty mi śmiał chamską rękę na szlachecką krew podnieść. A to wam tu już kozaczyzna w głowie! hę! a no ja wam ją z niej wybiję, jak się patrzy... Ja cię nauczę, że póki życia nie zapomniesz... Rózeg! łozy...

Na te odgróżki wpadła Hruzdzina właśnie... Jegomość stał w ganku między słupkami, w białym kitlu, czapka na bakier, a lice mu się czerwieniło i siniało a tuż Jejmość na ławce siedząca tuliła szlochające chłopię swoje. Na środku podwórza włodarz za kołnierz od sukmany trzymał skulone chłopię, przy nim już i karbowy był na straży. Z poblizkiego folwarku co było dziewcząt i parobków, powysadzało głowy, a niektórzy z za wałów wyglądali...

— Gdzie się zapodział Stach! prędzej łóz! — zakrzyczał Jegomość... Na te słowa stara Hruzdzina przypadła i pominąwszy chłopca i włodarza wprost do pańskich nóg przyklękła...

— Mój dobry, łaskawy panie... miłosierdzia dla głupiego Janka... Nie wiem co zawinił; a no wszyscy we wsi wiedzą, że głupi... toż go głupim i zowią.

— A ja go wam rozumu nauczę — krzyczał stary—ja go nauczę! Idź ty mi babo precz... darmo będziesz wisiała u nóg, baty mu dać muszę i krwawe... A no wiesz... co uczynił?

— Ja nic nie wiem; ależ to głupie dziecko! powtarzała Hruzdzina.

Wtém Janek, którego włodarz za kołnierz trzymał począł pieskliwym głosem dziecięcym:

— Matuś moja, jam nie głupi, ale mnie panicz pokrzywdził, tom mu oddał...

— Słyszysz go? słyszysz! — wrzasnął szlachcic. — Sam ci się do tego przyznaje... i śmie mówić... Łóz! łóz!

— Na miłość Chrystusa pana, ojcze, panie! a toć przecie najlepszy dowód, że głupi — zawołała Hruzdzina — Czyżby rozumny śmiał sam na siebie świadczyć...

— A po co panicz do zabawy wyzywa? — piszczał Janek z pod rękawa włodarza szamocąc się, bo mu ten gębę chciał zatknąć —jam się przecie nie prosił! Dobra to zabawa... nogami kopie i za włosy targa; a po co ja mam znosić...

— To nie może być — przerwała matka panicza z ganku — Antek tego nie mógł czynić! A choćby cię w zabawie potrącił, cóż to tak strasznego? nie mogłeś to ścierpieć? nie trzeba ci było przyjść na skargę do dworu? Tyś sobie sam zaraz musiał sprawiedliwość czynić!

— Abom ci to ja nadaremnie nie skarżył się? — piszczał Janek... Jeszcze mnie ze dworu nogą kopnięto...

— Łóz! Łóz, na rany pańskie, łóz! Co tego Stacha nie widać... wołał pan... poszedł i utonął... pogańska wiara... Stara Hruzdzina rzuciła się jeszcze do nóg panu, lecz ten ją popchnął. — Idź babo do domu... idź, abyś i ty co nie oberwała...

Gdy się to działo, Janek w ręku włodarza się szamotał, i znać nie nadaremnie. Trzymał go urzędnik ów gospodarski za kołnierz sukmany, która była dobrze przestronna; chłopiec pono kręcąc się ręce z rękawów zawczasu powydobywał, a dobrze się rozglądał tylko, jakby najbezpieczniej drapnąć... Dziedzińczyk był niezbyt wielki przede dworkiem... z tyłu po za nim i włodarzem wrota stały na drogę otworem. Zprzodu był dwór i płot od ogrodu, w lewo nieco opodal folwark, w prawo stajnie; koło folwarku czeladź zalegała, nie było więc sposobu tamtędy

się wysunąć; od strony stajen nie było jakoś widać nikogo, a tuż gęste bzy i wiśniowy sadek graniczyły z polem... przez które bite rowy i strumienie łozą obrosłe dozwalały o zmroku szukać tam schronienia. Bystre oko głupiego Janka wszystko to postrzegło i znać rozrachowało; zmiarkował też, iż tu się litości już spodziewać nie było można. Czuł sam nieborak, że nabroił... jedyny ratunek zostawał w ucieczce na pozór prawie nie możliwej, ale dla śmiałka, który już nic pono do stracenia nie miał, popróbować jej się godziło... Jegomość jeszcze krzyczał: — Łóz! — a na drodze ode wsi widać już było Stacha, który na ramieniu niosąc rózgi z pozornym nadążał pospiechem; gdy w mgnieniu oka, najniespodziewaniej z ręki włodarza, w której została tylko sukmanka, wyśliznął się Janek, i nim ludzie obecni się opamiętali, szmorgnął w bzy po za stajnią. Co żyło, rzuciło się tedy za nim w pogoń... — Łapaj, kto w Boga wierzy! — wołał pan załamując ręce...

Czy to, że chłopak był zręczny a nogi miał dobre, czy że ludzie litościwi dlań byli, czy pan Bóg tak jakoś zrządził — dosyć — dosyć że Janek jak w wodę wpadł, a gdy Stach z rózgami przyszedł, już bić nie było kogo.

Trudno odmalować wielki a słuszny gniew pański, równający się temu, jaki Iwan Groźny wyraził w liście do zdrajcy Kurbskiego, wyrzucając mu, iż prawowitemu panu swemu umęczyć się nie dał na chwałę Bożą. Jegomość Jejmość, pokrzywdzony panicz, włodarz, karbowy, czeladź, dziewczęta — wszystko to wypadło z krzykiem w środek dziedzińca, ale że niesłychanemu zuchwalstwu i śmiałości dziecka niepomiernie się dziwowano, łamiąc ręce i lamentując nad tą zgubioną duszą głupiego Janka, który dla swojego dobra uchłostać się nie dał, winowajca drapnął tak, iż najskorszych nóg parobcy, zachęceni do tych łowów obietnicą kieliszka wódki, nawet śladu jego ani tropu nie znaleźli. Ale wieczór już był coraz poźniejszy i w polu ciemniało, nie sposób go i szukać dalej było po rowach i zaroślinach...

Pan się wkońcu opamiętał. — Dać pokój, krzyknął, znajdzie się ten truteń, czy dziś czy jutro, a co miał wziąć dziś dwadzieścia pięć, dostanie czterdzieści... już że go nie minie, to nie minie... Stara Hruzdzina odchodzić miała, ale pan w gniewie okrutnym zawołał ją nazad...

— Słuchaj stara — rzekł — ani mi się go waż ukrywać, bo i ty i twój i wszyscy, ile was w chacie jest, dostaniecie to, co mu się należało... Jak się tylko okaże, natychmiast mi go związanego dostawić... Ja go nauczę, ja go na pańskie dziecko targać się nauczę!

---

Tak się skończyła o poźnym mroku tragiczna ta historya głupiego Janka. Stara Hruzdzina, choć dokoła słyszała powtarzane: Co się przewlecze to nie uciecze! — w duszy rada była, że jej wychowaniec tak się zręcznie od pierwszego impetu pańskiego gniewu salwował. Znała naturę ludzką, że czas najzapamiętalszą sierdzistość uśmierza, i dziękowała Bogu, ufając jego przyszłej nad dziecięciem opiece. Szła tedy smutna powoli od dworu do chaty, a już prawie się i nocka była zrobiła, i ciemno zaczynało być, gdy na pół drogi, w opłotkach usłyszała szelest i z gęstwiny o mroku ujrzała białą twarzyczkę, a cichy przytłumiony głos ozwał się do niej: — Matuś, — a tom ja!

Kobieta aż zadrzała przelękła, bo było tak jeszcze blizko wrót i podwórca, że mógł kto rozmowę posłyszeć; skinęła więc ręką niecierpliwie na chłopaka, aby się schował, a sama ciągnęła dalej; ale kilka ledwie krzaków uszła, szelest słysząc po za płotami i za sobą, gdy głowa znowu ukazała się po nad krzakami i Janek powtórzył: Matuś! a co mam czynić?

— Idź ino dalej, a nie tu w gawędę się wdawać... To mówiąc przyspieszyła kroku stara. Około pierwszej chaty z za płotu wyskoczył Janek i przytulił się do niej...

— Cożeś to narobił? co? znowu bieda? — szepnęła Hruzdzina — a no już dziś nie żarty... Ruszaj pod gruszę na Bartosiowem polu, tam się rozmówimy. Tu jeszczeby nas zajrzeli... Trzeba radzić, ale nie na gościńcu, bo pochwycą.

Janek mknął zaraz, staruszka stanęła, pomyślała, westchnęła, przeżegnała się u krzyża i powolnym krokiem, miedzą i oglądając się po za siebie, czy kto za nią nie idzie, albo nie widzi, posunęła się między polem swojem a Bartosiowem ku gruszy...

Była to jedna z tych poważnych, starych dziczek, które od wieków rosnąc w polach służą zimą do rozpoznania się czasu zamieci, a latem gromadzą pod swym cieniem w upały obiadujących w polu. Bartosiowa grusza była prababką wszystkich w okolicy. Pień miała, co go we dwóch objąć trudno było, konary grube i rozłożyste, a choć je kijami jesienią zbijając dziczki uszkadzały chłopięta, odnawiała się tak, iż śladu corocznego męczeństwa nie zostawało. Chłopak do gruszy posunął się chyłkiem naprost przez pole, a żwawo i pierwszy stanął u niej. Dopiero w dobre ćwierć godziny przysunęła się stara Hruzdzina. Ciemno już było zupełnie na dworze, tylko od zachodu nieco światlejsze niebo, poprzerzynane ciemnych chmur pasami, jaśniało. W polu ucichło, we wsi psy tylko chwilami naszczekiwały, dwór stał czarny z oknami od ognia czerwonemi, a na górze na ciemnicy nocnej łyskała gdzie niegdzie blada gwiazdeczka; pod gruszą na małem kilku darniny kilka kamieni leżało, na których ludzie siadywali. Siadła też zaraz na jednym z nich Hruzdzina, podparła się łokciami, i choć chłopak stał tuż przed nią, zrazu jakoś głosu z piersi dobyć nie mogła.

Janek przysiadł a raczej przypadł na ziemię naprzeciw niej i wzdychał, nie ważąc się też odzywać.

— Cóżeś to znów nabroił, co? — poczęła zwolna tęsknym głosem stara — niedobry chłopcze!

— Czekajcie matuś, pozwólcie, powiem wszystko jak na spowiedzi... Jeźlim zgrzeszył, to nie wiele, Bóg widzi — łagodnie odrzekł Janek. — Tak było: Szedłem ja z pola do domu od roboty, bom ci nie próżnował, a jeszcze się Jagusina krowa była zbiła z drogi i zabiegła w szkodę, tom jej pomógł podpędzić, aby nie złapali do dworu. Tylko com na gościniec podle dworu wstąpił, leci panicz naprzeciw: — Chodz się bawić.—Zdjąłem czapkę jak należy i mówię: — Niech panicz przebaczy, na mnie nie do zabawy pora, bom zmęczony i w domu robota jest. — Musisz ty łotrze — zawołał panicz — ja ci każę. Zaraz mi tu w rów, stań na czworakach, siądę na grzbiet i poganiać będę, pojadę na tobie. — Jeszcze czego nie stało? — rzekłem — toż panicz żartuje, albom to ja zwierzę, aby na mnie ludzie jeździli? Takim ja człek jak i panicz, nie przymierzając. — Mówiłem to w żartach, a co jemu się nie podobało. — Jak ty śmiesz gadać, zawołał, żeś ty taki człek jak ja? Jam pan, szlachcic — a tyś truteń, chamska krew, przybłęda jakiś. — Jeszczem ścierpiał i rzekłem mu:

— A toć Chrystus pan za nas wszystkich równo umierał, to nas przecie porównał. — A panicz nie słuchając dalej, jak mnie palnie... Inom się obejrzał, co chcecie, krew do głowy się rzuciła; jak go chwycę za czub, natarłem mu go dobrze... No i tyle; ten w płacz, i ze skargą. Tuż był włodarz, gumienny, karbowy, chwycili mnie zaraz; dziecko pobiegło do jegomości, zrobił się rwetes, lament, sądny dzień, a co potem, to już i sami wiecie.

Chłopak umilkł. — Było znieść! — westchnęła Hruzdzina—a nie rwać się na pańskie dziecko, a nie zapominać, co on a co my. Cóż teraz począć? Stary Hruzda do chaty cię nie przyjmie, będzie się bał i do dworu odprowadzi. Jak się na ich ręce dostaniesz, to cię śmiertelnie skatują. Co ja pocznę, co ty poczniesz! A! Janek, Janek!

— A! Matuś, nie lamentujcież — przerwało chłopię ściskając ją za nogi. — Jakbyście wy jeszcze za mnie cierpieć mieli, wolałbym się im sam zaraz w ręce oddać, przecie mnie na śmierć nie ubiczują. Osieką starsi, to zniosę, przeciw sile nie ma rady, tylko od tego malca nie mogłem ścierpieć, aby nademną przewodził.

— Ja znam ich, — litości mieć nie będą! — rzekła stara, — a! co ja tu pocznę! co pocznę! Tobie się we wsi nie pokazywać. Słuchaj Janek, niema rady, do jutra przynajmniej kędyś schować się trzeba. Jutro zobaczymy i pomyślimy. Na chatę biedy naprowadzać nie można, Hruzda by mi nie dał spokoju; chyba w polu przenocujesz, a noc zimna.

— O! wielka rzecz! — roześmiał się Janek — albo to pierwszyna... w rów się wcisnę...

— A i sukmanki nie masz, to zmarzniesz — rzekła Hruzdzina zdejmując powoli przyodziewek, który na siebie narzuciła była z domu wychodząc... Weź to, weź; ja do chaty dójdę i tak, stary się nie postrzeże, okryjesz się, będzie ci lepiej; nie przyznam się nawet, żem cię widziała, no — a jutro — jutro... trzeba rady i natchnienia Bożego czekać...

— Nie, nie — odparł Janek — już okrycia to nie wezmę, jak Bóg miły nie. Noc mi nie straszna. Znajdę stóg siana, albo słomę na polu, wkręcę się we środek, i będzie mi jak w uchu...

— Ale co jutro! co jutro! — lamentowała staruszka — ja tych ludzi znam; pan tak łatwo nie przebaczy, a choćby ci zwolniał, to jejmość za dziecko jedyne będzie go do pomsty namawiała... Skatują cię i skaleczą, nie — nie! ja cię nie dam na ręce katowskie... ale cóż począć — co począć?

Janek westchnął — Ponoś mi ztąd trzeba będzie iść, szepnął — aleć wola Boża. Samiście mówili, żem ja nie tutejszy, nie ich poddany, prawa do mnie żadnego nie mają.

— A! tak, święta prawda — przerwała kobieta — oni nie, alem ja cię od maleńkości wychowała, i byłeś mi jak dziecko rodzone, gdy Bóg własnych nie dał dzieci... Ja do ciebie prawo mam... I cóż mi z niego? co mi z niego?

— Moja matuś — zawołał Janek — albo to ja choć oddalony wasz nie będę? albo to ja zapomnieć kiedy potrafię, com wam winien?...

— Co mi z tego, gdy cię oczy moje nie będą widziały — mówiła stara — Myślałam sobie zawsze: My dzieci nie mamy, krewnych nie mamy blizkich, to kiedyś i stary byłby — choć nie lubił cudzego dziecka — przyszedł do mej myśli, i bylibyśmy ci grunt oddali, i byłbyś mi oczy zamknął. A teraz...

Stara zapłakała.

— Nie — rzekła wstając — o sobie myśleć nie godzi się, jutro o nas i losie naszym postanowimy. Weź sukmanę.

— Nie wezmę — zawołał Janek całując w rękę Hruzdzinę, — ino gdzie mi być każecie?

— Sukmanę weź, jam trzy kroki od domu, a noc zimna — nalegała stara.

— Matuś, nie mogę; jam młody, mnie krew grzeje, a wam po nocy wracać, tobyście kaszlu waszego nabrali.

— Mieć ja go i tak będę z samego płaczu — rzekła stara — A no słuchaj niedobry chłopcze: — We dniu ci się nie pokazywać. Idź do drugiej wioski, niby za owcą przepadłą. Znasz na drugim prądniku kumę Malichowę; powiedz jej wszystko, oni cię przytulą, a o mroku ja tam będę.

Noc była już, jak na wsi poźna; stara pocałowała chłopca w głowę, westchnęła i poszła, a Janek jeszcze ją do opłotków miedzą przeprowadził, aby się nie bała, i pocałowawszy w rękę, gdy go żegnać chciała rzucając mu sukmanę, nie wziąwszy jej zniknął.

---

Głupi Janek, gdyż tak go powszechnie we wsi zwano, miał, gdy się to działo, lat trzynaście, a od dziewięciu już wychowywał się u Hruzdów. Dziecko było sierotą i zupełnie nieznanych rodziców; dziwnym też sposobem dostało się do chaty, której gospodarze dobrowolnie je przyjęli i prawie za własne przysposobili. Osobliwie stara Hruzdzina, która nie miała tylko jednego synka, a ten jej zmarł w pieluchach, znalazłszy w Janku przypomnienie utraconej dzieciny, przywiązała się do niej z prawdziwie macierzyńską czułością.

Dziewięć lat temu jednego wieczora stary Hruzda powracał z Krakowa po piekielnej drodze jesiennej, długiemi deszczami rozbitej i grząskiej, gdy nieco podal od chaty swej na gościńcu postrzegł wózek, który ze złamaną osią leżał przechylony na bok. Chodził około niego mężczyzna jakiś, i lamentował a klął na przemiany. Było to w obyczaju dawnych ludzi, iż sobie najwymyślniejszemi przekleństwy ulgę w biedzie czynili; pospolita mowa miała na ten cel cały słownik wymyślnych wyrażeń, wielce dobitnych. Uczył się ich każdy słuchając zmłodu, i posługiwał w potrzebie, choć się poźniej z tego spowiadał, bo księża na spowiedziach, znając nałóg, pytać nieomieszkiwali. Nie dziwby było, gdyby prosty lud z pogańskich podań jeszcze pochwyconemi klątwy w nieszczęściu narzekał; ale senatorowie i szlachta również się nie wstydzili, kląć co wlazło, gdy się im co na przekór stało. Szlachcic stojący około wózka piorunował aż strach. — A! bodaj z piekła nie wylazł, kto tę oś robił i kuł; bodaj go siarczyste, bodaj zczesł, zmarniał jucha, niegodziwiec; przeklęty wóz, we złą godzinę kupiony...

— Cóż to się stało? — spytał zbliżając się Hruzda. —

— Albo to nie widzisz? ślepyś! co! oś mi trzasła... gdzieś baba drogę przeszła, dzień feralny, ą tu noc i gościniec jakby prowadził do piekła.

— A gdzież woźnica? — rzekł Hruzda — czy go jegomość posłał?

— Nie posłałem, bo go nie mam; jam sam pan, sam woźnica; nie lubię, aby mnie kto pilnował, nie mam nikogo.

— A zdaleka to jegomość? — szepnął gospodarz. —

— Ot! patrzcie go! będziesz mnie brał na spytki; a co ci do tego? Chcesz pomódz, to Bóg zapłać, a nie, daj mi pokój święty i ruszaj w swoję drogę.

Hruzdzie się go żal zrobiło; para koni tęgich po kostki stała w grzęzkiej kałuży, sam pan brodził w niej chodząc wkoło i nie wiedząc znać, co począć...

— Wiesz jegomość co? — rzekł — wyprzężmy konie; tu niedaleko mój chlewek i stajenka, rzeczy z wózka zabierzemy, a wóz do jutra trzeba zostawić, bo mu po nocy rady nie damy. Oś się do dnia podprawi, i pojedziecie, a u mnie w chacie na stole, czy na ławie, czy na sianie w izbie, spoczniecie.

Szlachcic milczał i dumał, pocichu wszakże zdawał się kląć jeszcze... Nie miał do wyboru, musiał przyjąć ofiarowaną gościnę. Zajął się więc Hruzda razem z nim wyładowaniem wózka, w którym było trochę rzeczy, wyprzężeniem koni, i zaprowadził gościa do domu.

Ponieważ się ciekawych z poblizkich chat zebrała była kupka, pchnął przodem chłopaka do żony, dając znać, że z obcym człekiem przybędzie. Hruzdowie byli gospodarze majętni, zasobni, i liczono ich do najrządniejszych we wsi, tylko się im nieszczęściło w tem, że dzieci nie mieli, a już byli nie młodzi oboje, i gospodyni lamentowała wielce nad tem niebłogosławieństwem Bożem. Kobieta była i rozumna i serca poczciwego, obejściem przechodząc męża, który gburowaty, nieco gwałtowny, kwaśny często, jej wpływem dopiero nieco się był ułagodził i poprawił. Wpływ ten jednak znośniejszym go tylko uczyniwszy, w istocie nie wiele odmienił. Szanował żonę, obawiał się jej trochę, słuchał téż, ale miewał wybryki, i życie z nim słodkiem nie było... Z inną żoną, kto wie do czego by doszło; z Hruzdziną, na statecznego gospodarza wyszedł, i wszyscy to jej przyznawali. Lecz żeby go prowadzić, nie mało też zręczności było potrzeba. Tym razem Hruzda wiedział dobrze, iż żona mu za przytulenie człowieka w biedzie słowa nie powie, choć do chaty trochę z sobą kłopotu przyniesie. Weszli więc na próg niosąc kilimki, zawiniątka i dobyte z wózka przybory, a znaleźli już i światło, i Hruzdzinę pośród izby w pogotowiu na przyjęcie gościa, jakiego pan Bóg dał... Dopiero, gdy blask padł na twarz nieznajomego, postrzegł Hruzda, że to był mężczyzna już podżyły, szpakowaciejący, twarzy ponurej, ogorzałej, oczów czarnych, najeżonego włosa i pokulewający na nogę. Silny, zdrów, barczysty zresztą, znać w jakimś przypadku szwankował, ale zawsze jako — kuternoga nie miłe czynił wrażenie. Łysinę i zézowate oczy, mimo przysłowia rychlej człowiekowi przebaczono, kuternogów obawiano się przez pamięć na diabła, który uchodził za kalekę i nogi miał nieszczególne. Mimo że im się nie najlepiej wydał ów nieznajomy, przyjęto go gościnnie, Hruzdzina usmażyła jajecznicy, on też z podróżnych węzełków dobył flaszki z wódką zasłodzoną i gospodarzy częstował; a Hruzda nie był od tego. Rozgadali się wesoło, posiadawszy na ławach. To tylko było szczególnego, iż ów szlachcic, bo mu szlachectwo z oczów i sukni patrzało, — nie wygadał się jakoś

zkąd był. Powiadał, że jest z niedalekiej okolicy, ale nazwiska wsi nie mówił. Nalegać też nie wypadało. O sobie rzekł, że u możnego pana majątkiem rządzi, iż go wysłano do Krakowa dla pokupek, i że dla tej fatalnej osi na czas do domu nie ściągnie. Gdzie zaś ten dom był, jak daleko i jak się ów pan zwał, jakoś nie wypadło mu objaśnić. Wygadawszy się dosyć, poszli spać, a nie bez tego, żeby Hruzdowie mu o sobie nie wyspowiadali wszystkiego, czego tylko chciał słuchać. — Dowiedział się, że dzieci nie mieli, że Hruzdzinie tęskno bez nich było, że im gospodarstwo nie źle się zresztą wiodło i t. p. Nazajutzz rano Hruzda do dnia wstawszy sam zajął się wózkiem i osią, tak że gdy się rozwidniło, wszystko było gotowe, i szlachcic upakowawszy się mógł ruszyć. — Chciał za nocleg zapłacić i gościnę, ale gospodarze nic nie wzięli, nawet za ćwiartkę owsa, którą dali koniom. Przyrzekł więc podróżny, że ich w przyszłym tygodniu z gościńcem nawiedzi. Ledwie był za wrotami, zapomniano o nim i o całej przygodzie. W dni jakoś dziesięć nad wieczór stanął wózek przed chatą, i konie uwiązawszy do płotu, kuternoga wszedł pozdrowić Hruzdów. Samego naówczas nie zastał, tylko babę. Położył na stole kilka kołaczów i butelkę miodu, a sam trochę na ławie spoczął. Hruzdzina chętną była do gawędy; ni z tego ni z owego szlachcic powiada: — A to wam za dzieckiem tęskno, hm! prawda, że kobieta do tego stworzona, aby pielęgnowała je, i smutno bez nich... a ja, wdowiec i sam jeden mam z chłopakiem kłopot: nie mój ci to on jest, ze wsi sierota, alem go w pieluchach wziął i za swego niemal z litości i miłosierdzia chował. Tym czasem gdy mi żona zmarła, teraz dojrzeć nie ma komu, i dziecko bez dozoru przepada.

Hruzdzina słuchała, serce jej uderzyło, nie odpowiedziała nic, westchnęła tylko.

— Wyście to dobre ludziska rzekł — obcy — jabym wam oddał moję sierotkę i za utrzymanie zapłacił, bo to się u mnie zmarnuje... Syn wieśniaka, toby się tu i gospodarstwa przyuczył...

— A dużo mu lat? — zapytała Hruzdzina...

— Cztery dopiero...

Jakkolwiek na dziecko to wielką miała pożądliwość kobieta, nie śmiała na siebie wziąć, żeby bez męża przyrzekać, iż się je wychować podejmie.

— Mój jegomość — rzekła — jak mój powróci, trzeba żebyście z nim o tem pomówili; jam nie od tego, ale bez męża nie śmiem nic.

Tymczasem szlachcic się spieszył, a Hruzdy nie było, odjechał więc poleciwszy gospodyni, aby się z mężem rozmówiła, obiecując, iż drugim razem po odpowiedź zajedzie. Gdy Hruzda nadszedł, miodowi i kołaczom był rad, lecz na opowiadanie żony głową strasznie trząść zaczął.

— A daj ty mi święty pokój! a na co mi ten kłopot! dziecko cudze! kto wie, jakiej natury, chorowite może, zdziczałe, krzyku będzie chata pełna...

Hruzdzina zamilkła, umiała jednak tak prowadzić sprawę, iż pomaleńku męża skłoniła i przekonała, że chłopiec by się im przydał, a dalej, dalej i pomoc z niego będą mieli. — Miała czasu dosyć na powolne nawracanie męża, na namowę i prośby, aby dziecko choć na próbę wziąć dozwolił; a że kobiety umieją, gdy pragną czego, użyć wszelkich środków, jakiemi działać można, skłoniła wkońcu Hruzdzina starego, iż się zgodził chłopca wziąć na próbę. — Wszakże go zawsze, gdyby im z nim ciężko było, oddać mogli. Żadne z nich nie zastanowiło się nad tem jakoś, że szlachcic kuternoga, choć dwa razy już u nich był, dotąd jakoś zapomniał im nawet powiedzieć, gdzie mieszkał i zkąd przyjeżdżał. Miarkowano tylko z zaprzęgu i częstych wycieczek do Krakowa, że z niedaleka gdzieś musiał przybywać.

Hruzdzina już była męża wedle swej myśli do tyla przerobiła, że choć burczał, nie sprzeciwiał się; ale szlachcica przez kilka tygodni widać nie było. Jednego dnia zrana, gdy Hruzda właśnie w pole się z pługiem wybierał, stanął wózek naprzeciw wrót i wysiadł z niego nieznajomy kuternoga. Tym razem przywiózł z sobą znać z domu tłustą gęś świeżo zabitą i flaszkę dobrej wódki żołądkowej na tatarskie ziele nalewanej. Hruzdę wyściskał jak przyjaciela, i zabrali się do chaty, choć chłopiec z pługiem czekał u wrót. Znalazła się u Hruzdzinej kiełbasa, i zaczęto śniadanie, ale o chłopcu zrazu nie było mowy. Rozmowa była tak zręcznie prowadzoną, iż sam gospodarz coś o chłopcu zagadał. Szlachcić jął go chwalić a stękać, że mu się ta sierota, którą on chciałby na ludzi wyprowadzić, marnuje. — A czemużbyście wy chłopca wziąć nie mieli? — rzekł. — Dzieci własnych nie macie, kobiecie nie będzie tak tęskno, jabym też z chęcią choć i zapłacił za utrzymanie. U nas nikogo nie ma, komuby zwierzyć dziecię.

Hruzda się w głowę poskrobał, ale nie było powodu odmówienia. Stanęło na tem, iż miał dać sześć talarów rocznie na odzież i bieliznę, a w dodatku obiecywał półkorca pszenicy. Zgodzono się z wielką radością samej Hruzdzinej. Kuternoga zapowiedział, iż w przyszłym tygodniu dziecko przywiezie. Rzecz była postanowiona, Hruzda rękę dał; ale po odjeździe szlachcica, którego znowu zapomniał spytać, zkąd był — chodził bardzo markotny. Za to Hruzdzina dni i godziny niemal liczyła. Minął wszakże tydzień, a szlachcica nie było, i dopiero w dni dziesięć, spiesząc okrutnie, jakby go kto gonił, nadbiegł kuternoga na wózku z sobą mając dziecko, wprowadził je do chaty, położył talarów sześć na stole, i obiecując jutro dla dłuższej pogadanki nadjechać, do Krakowa popędził. Czegoś mu dla sprawy jakiejś było strasznie pilno.

Dziecko przybyło zapłakane, wylękłe, i zrazu mimo pieszczot Hruzdzinej wyrywało się ciągle do matki... pytało o matkę... Co dziwniej, znać było i z mowy i z cery i z układu, że bardzo je delikatnie wychowywano, nie jak na

wieśniacze dziecię przystało. Tknęło to oboje Hruzdów, a starego najbardziej, że szlachcic tak drapnął, nie mówiąc znowu, zkąd przyjechał i jak się nazywał. Czekano nań nazajutrz, ale nie przybył... To nic jeszcze... myślano, iż go interes powstrzymał; ale nie było i dnia następnego i jak w wodę wpadł, więcej go już nie widzieli, ani się o kuternogę dopytać mogli. Jawną tedy rzeczą było, że ktoś się dziecka chciał pozbyć, i fortelu zażywszy tego, dał je do chaty... a sam zniknął. Z chłopca nic się dowiedzieć nie było podobna... plotło dziecko, iż go zrozumieć było trudno, Hruzda klął i mruczał, ale stara się cieszyła. Dziecka jej nie było komu odebrać, pokochała je niezmiernie... Zrazu niełatwo je przyswoić przyszło, grymasiło, płakało, wydelikacone bardzo jakoś zdawało się; lecz w tym wieku i wrażenia ścierają się łatwo i nawyknienia zapominają... Mały Janek przystał do przybranej matki w końcu jakby własne dziecię.

Z każdym dniem zwiększało się i przywiązanie jego do Hruzdzinej i jej do sieroty. Wychowanie zresztą było takie, jak na wsi być może, żywem słowem i przykładem a karnością. Janek pojętny, roztropny, łagodny ale razem ducha wytrwałego, był zaprawdę osobliwszem dziecięciem. Gdy się cokolwiek rozwijać począł, takie okazywał błyski osobliwsze niespokojnego jakiegoś umysłu, iż go dla nich głupim Jankiem przezwano. Głupi Janek nie umiał się jak inne dzieci zastosować ślepo do tego, co mu nakazywano, ale o każdej rzeczy po swojemu a niedorzecznie rozumował. Ksiądz i klecha uczyli go katechizmu... dzieciak ściśle co do litery wziął przepisy jego do serca... i świat sobie wedle nich budował. A że w rzeczywistości wiele rzeczy nie bardzo się zgadza z przepisami ewangelii, tego mu wytłumaczyć nie było podobna, ażeby wyjątki były dozwolone i mogły być tolerowane. Dziecko przytem było c i e k a w e, jak mówią, pytało, dowiadywało się, pragnęło wiedzieć i uczyć się. Hruzda łajał i gniewał się, Hruzdzina wyrozumialsza cichą umowę uczyniła z klechą, który uczył chłopca w wolnych godzinach tyle ile sam umiał. Nałapał więc ów wiejski żaczek wiadomości różnych, a z niemi bawił się często, jak kot z kłębkiem nici plącząc je na najosobliwszą krętaninę. Nie było mu można zresztą nic zarzucić oprócz tego dziwactwa i wybryków, pracował chętnie, cichy był i bardzo do przybranych rodziców przywiązany. Ale że ci się często o niego swarzyli, mimowolnie dowiedział się, że był sierotą, że o rodzicach jego żadnej nie mieli wiadomości, i w jaki sposób nieznajomy kuternoga narzucił go Hruzdom. Im chłopiec więcej rósł, tem stary surowiej się z nim obchodził, może dlatego, że mu owa głupota Janka, która jego rozum przechodziła, nie smakowała. — A zawsze on musi świdrować tym swoim głupim rozumem! — mówił Hruzda — a wiecznie mu pytać trzeba, po co? na co? Co tobie trutniu do tego? Ty rób jak drudzy, słuchaj starszych, na chléb zarabiaj, a nie mędruj!

Przeciwnie przybrana matka oczyma miłości poglądała na dziecko i pocichu mu pomagała, aby liznął nauki. Nie zaszło to jednak dalej nad trochę czytania, nad pisanie krzywe i niezgrabne i spiew kościelny, do którego klecha go wprawił. Hruzda domyślał się tylko tego, bo się przed nim nie przyznawano do godzin u klechy spędzonych. Nie wiedzieć dlaczego, im stara więcej się do dziecka przywiązywała, tem on je coraz mniej lubił a bardziej męczył i pracą nękał. Chłopak tak wyrósł do lat trzynastu, przezwany przez przybranego ojca głupim Jankiem, i pod tem mieniem w całej wiosce znany. W ciągu lat dziesięciu Hruzda i w Krakowie i po jarmarkach dowiadywał się o kuternogę, ale nie wiedział nazwiska; jedynym znakiem, po którym o niego się dopytywał, była ta kulawizna. A małoż po świecie kulawych? Zresztą żadnego takiego szlachcica nikt w okolicy nie znał. Na targu raz mignął mu człek podobny, ale tak się zwinął zręcznie, iż ociężały nieco Hruzda nie najrzał go już więcej. Znikły więc wszelkie ślady pochodzenia dziecięcia, nad czem Hruzdzina przynajmniej nie ubolewała wcale; bolała tylko, iż mimo wszelkich jej i chłopca starań gospodarz serca do niego nie miał. Opłakiwała to często pocichu.

(Ciąg dal. nast.)

# WEZWANIE.

Muzy biedne polskiej ziemi!
Wielką głoszę wam pociechę:
Długo byłyście błędnemi,
Odtąd własną macie S t r z e c h ę

Spieszcie pod nią! — czas sprzymierzyć
Rospierzchłe ducha zapały,
Wzajemnie w siebie uwierzyć
Dla swobody, i dla chwały!

Z tylu pieśni, różnych brzmieniem,
Jednę, zgodną pieśń utworzyć,
Natchnienie związać z natchnieniem,
I dłoń z dłonią ciasno złożyć!

Hej! od Wisły, Niemna, Dzwiny,
Dniepra — każda niech przybywa!
Uroczystej dzwon godziny
W imię ojczyzny przyzywa.

Czyja czysta myśl i dusza,
Temu spoczynku pociecha;
Kto ich nie ma — niechaj rusza!
Nie jemu wzniesiona S t r z e c h a!

Berlicz Sas.



# Sto Lat Niewoli.

## 1772 — 1872.

Sto lat niewoli — straszne słowo to brzmi dzisiaj od krańca do krańca dawnej rzeczypospolitej Polskiej: od Kijowa do Gdańska, od Smoleńska do Białej, pomimo że pierwsze z tych miast radziby uważać za swoje Moskale, drugie zaś Niemcy. Sto lat niewoli — straszne słowo dla narodu, a jednak jest ono właśnie dowodem żywotności narodu.

Żyjący tylko naród może być w niewoli i tylko ten naród, liczy swoje lata niewoli, który był kiedyś wolnym, samoistnym, i czuje, że nim będzie.

Sto lat temu nie wierzono jeszcze w Polsce, że pierwszy jej rozbiór nie jest ostatnim. Łudzono się, że nieszczęścia ojczyzny skończą się na ofiarach roku 1772., aż póki nienadeszły lata najokropniejszego rozczarowania, lata drugiego i trzeciego podziału. A jednak dzisiaj zdaje się nam, którzy rozpamiętujemy dzieje owych czasów, że żaden rozsądny człowiek nie powinien się był łudzić: nie od roku 1772 ale od r. 1672, że Polska upada.

Od czasu, kiedy obce rządy miały swoje stronnictwa w kraju, a wcale od czasu, kiedy Moskwa zaczęła się wtrącać w rządy wewnętrzne kraju, powinno było być jasnem każdemu politykowi w kraju, że się rzeczpospolita ma ku upadkowi.

Byli tacy w kraju; miała Polska takich kruków, co jej śmierć zapowiadali i okrążali gmach pasującego się ze śmiercią olbrzyma, aby skoro padnie, paść się na jego trupie. Byli i tacy, co w dobrej myśli ostrzegali przed upadkiem i zawczasu przywdziewali żałobę nad konającym.

Lecz były to wyjątki pojedyncze; ich jasne widzenie rzeczy było, jak są owe jasne chwile w życiu konającego, który do ostatniej chwili łudzi się życia nadzieją, a kiedy niekiedy widzi jasno zbliżającą się śmierć.

Ogół narodu niej czuł, nie przewidywał śmierci. Bo też upadek Polski nie był śmiercią narodu polskiego.

Zginęła tylko dawna rzeczpospolita, a naród pozostał nie tylko w całej pełni życia, ale przez upadek tego

gmachu, w którym zdawało mu się, że jeszcze wieki żyć będzie, pobudzony został do pracy nad wybudowaniem nowego gmachu.

Rozbudziła się w narodzie polskim od upadku rzeczypospolitej wiara, że Polska powstanie nanowo w doskonalszych kształtach, i od stu lat krzewi się i krzepi ta myśl w narodzie z owym świętym uporem, który znamionował zawsze wszystkie wielkie myśli i wielkich piastunów tych myśli.

Święty ten upor (święty, bo się opiera przy dokonaniu świętych rzeczy) zapisuje imiona mężów, co nim walczyli, nie zatartemi rysami w pamięci rodzaju ludzkiego, bo walczyli o sprawy obchodzące cały rodzaj ludzki, o reformy religijne, reformy społeczne, o istnienie polityczne narodów i całych plemion.

Sprawy takie są świętemi, bo ogarniają one tak cały umysł i wszelką wolę człowieka, że im się cały poświęca; poświęca im swój byt i swoje szczęście, aby wywalczyć byt i szczęście tej całości, do której należy. Indywiduum poświęca się dobrowolnie dla osoby zbiorowej. Nie masz wznioślejszego nad to powołania, wznioślejszego nad ten czynu dla człowieka.

Walczą i poświęcają się pokolenia po pokoleniach dla tej sprawy, która im jest święta, dopóki jej nie wywalczą zwycięztwa. Jedni padają, drudzy powstają, padają z radością, powstają z gotowością położenia życia za świętą sprawę. Jestto upor, ale upor święty, i taki upor zwiastuje zwycięztwo.

Rzućmy tylko pobieżnie okiem na ten krótki okres czasu, krótki w porównaniu do ogromu, jaki obejmuje całe życie rodzaju ludzkiego, okres dziejów Europy od upadku państwa rzymskiego aż po dzisiejsze czasy, a znajdziemy już w początkach tak zwanego nowego świata zarody tych przemian, jakie w ostatnim tym wieku wstrząsają Europą, i w jakich ojczyzna nasza tak wielki ma udział.

Już w samych początkach tworzenia się tego nowego świata wynurzyły się z nawału plemion, zalewających dawny świat rzymsko-grecki, trzy główne szczepy, które się poźniej rozczłonkowały na rozliczne narody, a w dalszem następstwie na różne drobne dziedziny.

Szczep niemiecki, zwykle germańskim zwany, szczep zwany romańskim i słowiański, zajęły każdy pewne stanowisko w dziedzinie nowego świata. Każdy z nich podzielił się na liczne narody, które nawet nieprzyjaźnie często stają naprzeciw siebie, ale przecież, narody każdego z tych szczepów łączy przeświadczenie, że należą do jednego szczepu. To przeświadczenie o wspólności pochodzenia a ztąd wynikającej wspólności powołania narodów, do jednego szczepu należących, jest tak silne, że pomimo nawet wzajemnej nieprzyjaźni przewodniczy im myśl, że kiedyś jednę całość stanowić powinne i stanowić będą.

Myśl ta zjednoczenia jednoplemiennych narodów przewodniczyła wielkim przemianom dziejowym i wiekowym walkom. Myśl ta była podstawą walk toczących się przez wieki na półwyspie włoskim; taż sama myśl była powodem walk, które rozdzierały naród niemiecki. Jeżeli nam kto zarzuci, że walki na półwyspie włoskim i w rzeszy niemieckiej nie obejmowały całego plemienia romańskiego i germańskiego, to zwrócimy uwagę na to, że dotychczas jeszcze w tych plemionach nie jest dokonane zjednoczenie pojedyńczych gałęzi narodowych. Na półwyspie włoskim dopiero teraz się dokonywa dzieło zjednoczenia narodowego, a w rzeszy niemieckiej jest to zjednoczenie dalszem jeszcze od swego celu. Jaką postać przybiorą stosunki tych narodów do innych współplemiennych: Włoch do Francyi i Hiszpanii, Niemiec do Anglii, Danii, Szwecyi, to się okaże dopiero wtedy, gdy stosunki pojedyńczych narodów będą ustalone. Nie można zaprzeczyć wszakże, iż poczucie jednoplemienności ożywia te szczepy i rozbudza się coraz bardziej.

Najmocniej jednakże jest poczucie jednoplemienności rozwinięte w Słowiańszczyźnie, i w tej jedynie przybrało ono już postać systemu politycznego.

Połączenie wszystkich narodów słowiańskich w jednę rzeszę: myśl przewodnicząca z jednej strony polityce moskiewskiej, z drugiej zaś wszystkim dążeniom słowiańskich narodów do wyswobodzenia się z pod przewagi obczyzny, ta myśl ma też dwojakich przedstawicieli. Jedną jej przedstawicielką jest Moskwa, drugą Polska.

Myśl zjednoczenia wszystkich jednoplemiennych słowiańskich narodów bez względu na swobodę polityczną, a zatem zjednoczenia ich pod jedno panowanie absolutne, przewodniczy polityce moskiewskiej. Myśl ta rozwinęła się w cały system polityczny, nad którego wprowadzeniem w rzeczywistość pracuje polityka caryzmu przeszło od wieku, a pracuje z żelazną wynikłością i wytrwałością, z wszelką chytrością i biegłością odziedziczoną po Grekach, przytem z okrucieństwem i dzikością odziedziczoną po Mongołach. Jestto system moskiewskiego panslawizmu.

Myśl zjednoczenia słowiańskich narodów jako wolnych, niepodległych ale w sojuszu ze sobą zostających, myśl federacyi słowiańskiej, przewodniczy politycznemu systemowi wszystkich wolnomyślnych Słowian, od Pestla i Murawiewa zacząwszy aż do dzisiejszego stronnictwa demokratycznego w naszym kraju, i jak nam wnioskować wolno z niektórych objawów życia politycznego, w innych krajach słowiańskich.

Jest to rozwijanie się w latorośl owego zarodu, który kiełkował w łonie europejskiej ludzkości od wieków.

Do przewodniczenia w dokonaniu tej wielkiej myśli zjednoczenia Słowian w sojuszu federacyjnym jest powołanym ten naród, który przoduje oświatą i dzielnością.

Nie chcę powiedzieć że polski naród **jest** tym narodem przewodniczącym, bo po dziś dzień jeszcze zbyt mało poczuwa się naród polski do takiego przewództwa, chociaż posiada wszelkie warunki ku temu, ale powinien nim być.

Okoliczność tę, że przeświadczenie o tak wielkiem posłannictwie niedosyć jeszcze przeniknęło umysły w narodzie polskim, tłumaczymy brakiem społecznej i politycznej samodzielności w narodzie.

Co to jest społeczna i polityczna samodzielność?

Społeczną samodzielnością nazywamy takie ukształtowanie stosunków w narodzie, że jedna część nie jest zależną od innej tegoż części pod względem swego bytu materyalnego. Gdzie robotnik nie ma praw takich samych pod względem ekonomicznym, jak ten, co robotę daje; gdzie rolnik jest albo **glebae adscriptus** (jak w Polsce było), albo **leibeseigen** (jak było w Niemczech), albo **niewolnikiem** wcale, jak to bywało w innych krajach, gdzie wogóle jedna klasa społeczna ma pewne **wyłączne prawa ekonomiczne**, tam nie ma społecznej samodzielności.

Społecznej samodzielności w tem słowa znaczeniu nie miały polskie kraje, a poniekąd nie mają jej jeszcze po dziśdzień; o tem, zdaje mi się, wątpić nie można.

Gdzie takie stosunki społeczne istnieją tam nie może się rozwinąć poczucie spójni narodowej, ale przeciwnie rozwija się przy pierwszej lepszej sposobności walka społeczna, wstrząsająca całym ustrojem państwa. Jeżeli państwo to ma dosyć siły, aby walkę tę przebyć w swem wnętrzu, natenczas następuje samodzielne przekształcenie stosunków społecznych, jak to było w państwach zachodnio-europejskich. Jeżeli jednak do przebycia takiej walki społecznej w swojem wnętrzu nie ma dosyć siły, jakto było w Polsce, natenczas szukają klasy społeczne oparcia zewnątrz siebie, a naród traci spójnię i samodzielność polityczną.

Dla czego nie znalazła Polska w sobie dosyć siły, aby przebyć walkę społeczną? na to krótka odpowiedź; bo jedna z klas społecznych była zarazem klasą rządzącą, stanowiła państwo, jej więc upadek musiał zarazem być upadkiem **państwa**.

Ale upadek ten państwa polskiego był, jakeśmy już nadmienili, tylko upadkiem starego gmachu, a nie upadkiem narodu.

Wiara, że naród ten zbuduje sobie nowy gmach, który już nie w rozterce społecznej i politycznej między pojedyńczemi częściami narodu, ale jako jedna zgodna rodzina zamieszkiwać będzie, jest myślą przewodnią Polski porozbiorowej

Od konfederacyi barskiej aż do powstania **w r.** 1863 stanowią dzieje narodu polskiego szereg passowań się z przemocą fizyczną, szereg czynów poświęcenia, szereg zwycięztw duchowych. Jeżeli bowiem wszystkie nasze podźwigi narodowe kończyły się upadkiem naszym a zwycięztwem przemocy, to jednakże już samo powtarzanie się tych podźwigów dowodzi jasno, że siły tego narodu są niespożyte, że się zawsze nanowo odradzają — **że naród żyje**.

Każde nasze powstanie było moralnem zwycięztwem, każde zdobywało w narodzie samym coraz szersze pole i przezto zaszczepiało siły do nowego powstania.

Upadały nasze powstania dla tego, bośmy nie zdobyli moralnie jeszcze całego narodu, bo uczucie, że stanowimy jedno ciało i jednę duszę, nie przeniknęło jeszcze wszystkich cząstek narodu, całego ludu. Ale czyniliśmy z każdem powstaniem na tem polu nowy postęp, odnosiliśmy w upadku zawsze nową zdobycz. Zdobyczą tą było rozszerzenie poczucia narodowego w ludzie.

Pierwszy krok ku temu uczynił **Kościuszko**; po jego upadku pozyskała ojczyzna już ogromną potęgę, bo lud warszawski i lud innych miast przemówił czynami do zdumionej Europy, że stanowi jednę całość z innemi warstwami społecznemi, że polski naród, to nie sama tylko szlachta dziedziczna i herbowa, ale ten lud, co po ulicach miast z pracy rąk swoich żyje; że przemysłowiec, kupiec, rzemieślnik nie klejnotny, bez tytułu, bez dziedzictwa, który od ojczyzny swojej nic nie wziął prócz życia, i nie ma z niej innych korzyści prócz widoku tego nieba, co nad jego głowami się sklepi, i tej ziemi, po której stąpa, że i to niezaopatrzone dziecko tej samej ziemi, której inne dzieci największą część posiedli, kocha ją zarówno z tamtemi, uważa ją za matkę swoję i gotowe za nią położyć swoje życie.

W Kościuszkowskiem powstaniu obudził się duch narodowy przeważnie w ludzie miejskim. Mieliśmy w szeregach powstańczych Kościuszki także lud wiejski, który chociaż w nie tak nader licznych zastępach, to jednak z całą serdecznością, właściwą temu ludowi i narodowi polskiemu w ogóle, szedł za sztandarem wolności z poświęceniem i tem przeświadczeniem, że za świętą sprawę walczy.

Powrót do dawnych stosunków społecznych po upadku Kościuszkowskiego powstania, pozostawienie nadal wiejskiego ludu w poddaństwie, nie dopuściły, aby ten duch patryotyczny, to poczucie narodowe rozszerzyło się w ludzie. Zostało tylko w tych stronach, gdzie Kościuszko wraz z ludem wiejskim walczył przeciw Moskwie, zostało tam wspomnienie: że walczono o wolność, o swobodę przedewszystkiem od najazdu, a do tego wspomnienia łączyła się blada nadzieja, że oswobodzenie od najazdu może za sobą pociągnąć oswobodzenie od poddaństwa.

Odtąd drzemała na dnie serca ludu polskiego ta myśl i nadzieja, że chwila swobody dla niego przyjść musi i że jest niedaleką.

Odtąd przykładano ucha do serca tego ludu i nadsłuchiwano, jak tętna jego biją dla wolności; i znajdowali

się mężowie, co podejmowali to pragnienie głucho się odzywające w sercu ludu, nadawali mu wyraz w pieśniach, w słowie, a nawet i w czynie. Nadmienię tu tylko Brodzińskiego, Kołłątaja, Ostrowskiego.

Jedno wielkie zwycięztwo moralne odnieśliśmy tedy z Kościuszkowskiego powstania, że myśl oswobodzenia ludu wiejskiego z poddaństwa i zrównania całego narodu w prawach obywatelskich połączyła się ściśle z myślą odbudowania Polski. Drugiem ważnem zwycięztwem jakieśmy odnieśli, było poczucie się ludu miejskiego do jedności narodowej.

Do tych zwycięztw moralnych przybyło inne w okresie legionów i Księstwa Warszawskiego.

Poczucie się ludu do jedności narodowej, które rozbudzonem zostało już przez Kościuszkowskie powstanie, rozwinęło się jeszcze żywiej w okresie legionów i Księstwa Warszawskiego. Nie tylko że mnóstwo ochotników za ciągało się w szeregi legionów na wezwanie ich twórcy, ale żołnierze opuszczali szeregi obce, aby stawać pod sztandarem oswobodzenia ojczyzny. Wiadomo, że w owym czasie jeszcze tylko nieszlachta służyła w szeregach obcych, szlachty zaś bardzo mała liczba wstępowała w służbę wojskową u obcych i zaczynała ją zawsze od stopnia kadeta lub wcale oficera; ci zaś co opuszczali szeregi obce, aby wstępować do legionów, byli przeważnie ludźmi z gminu. Dowodzi to już znacznie rozwiniętego poczucia patryotycznego między ludem.

W nierównie wyższym stopniu objawił się postęp w tym względzie za czasów Księstwa Warszawskiego. Utworzyła się armia z ludności krajowej, a przeważna część tego wojska musiała się rekrutować z ludności wiejskiej. Ponieważ zaś wojsko było przejęte duchem narodowym, więc i ludność z niem skojarzona przez związki rodzinne i wspólność pochodzenia musiała się także przejąć tym duchem.

Niezawodnie przyczyniły się legiony a następnie wojsko Księstwa Warszawskiego, zarówno jako później tak zwanego Królestwa kongresowego, wielce do obudzenia w ludzie poczucia narodowego; niezawodnie też szkoły z rządy polskie wpływały wielce na rozwinięcie sił narodowych. Ale jak w Królestwie kongresowem samem były te narodowe instytucye niewystarczające dla zupełnego rozwoju ducha narodowego, tak w otaczających to królestwo ziemiach polskich, jak n. p. w tak zwanym zabranem kraju, dalej w pruskim i austryackim zaborze pracowały rządy jak najusilniej właśnie nad stłumieniem tego ducha narodowego. Pomimo tego duch ten żył na dnie serc nie tylko w wykształceńszych warstwach społeczeństwa, ale i w ludzie. Poczucie to obiawiło się już przed r. 1831 w nienawiści do Moskali i do szyzmy w zaborze moskiewskim, w nienawiści do Niemców i niekatolików w zaborze pruskim; najsłabszem było to poczucie w zaborze austryackiem, dzięki naszemu własnemu niedołęstwu wyzyskanemu przez urzędnictwo na niekorzyść narodowości.

Powstanie listopadowe ożywiło ducha narodowego w zaborze pruskim, podniosło nienawiść ludu do Moskali w zaborze moskiewskim, a w zaborze austryackim nie oddziałało wprawdzie na lud, ale rozbudziło klasy oświeceńsze z niedołężnego uspienia. Galicya zaczęła po r. 1831 żyć umysłowo i narodowo. Spiski przedlistopadowe zaszczepiły się z moskiewskiego zaboru w austryackim i pruskim.

Rozwój ducha narodowego postąpił po upadku powstania 1831, bo rozszerzył się terytoryalnie i objął wszystkie części dawnej Polski.

Jeszcze inna cecha wielkiej wagi odznacza listopadowe powstanie. Zaświtała wtedy już myśl łączności Polski ze Słowiańszczyzną obok myśli, że naród Polski jest powołanym walczyć wogóle za wolność, wszędzie i zawsze, gdzie tylko walka taka się poczyna.

Spiski, które poprzedzały powstanie listopadowe, zostawały, jak wiadomo, w pewnej łączności ze spiskiem pestlowskim; jeżeli łączność ta została zerwaną właśnie przez powstanie listopadowe, to nie dla tego, iżby się Polacy nie mieli poczuwać do łączności ze Słowiańszczyzną, nie dla tego, iżby federacya słowiańska była dla umysłów polskich albo wstrętną albo nieprzystępną, ale dla tego, że wrodzony popęd musiał Polakom czynić wstrętnem przewództwo Moskali w tej sprawie.

W tem zerwaniu związków ze spiskiem moskiewsko-słowiańskim, jakkolwiek spisek ten przyjął za godło wolność i równość pod względem społecznym, formę rzeczypospolitej pod względem wewnętrznym politycznym, federacyą pod względem zewnętrzno-politycznym, było skutkiem dążenie Moskwy i na tej drodze, na drodze wolności i federacyi, przecież do hegemonii w Słowiańszczyźnie.

Być może, a nawet można to napewne twierdzić, że Polacy, którzy brali udział w pestlowskim spisku, nie zdawali sobie sprawy z tego, że ostatecznie byłaby się musiała wyrodzić z tego spisku walka przeciwko hegemonii Moskwy, do której ona zdąża wprost tylko w skutek swojej fizycznej przewagi. Być może nawet, że to dążenie hegemonii nie było nawet na myśli samymże Moskalom należącym do spisku, ale dążenie to leżało na gruncie całej roboty i byłoby się niezawodnie wynurzyło w razie udania się spisku, tak jak dzisiaj wszyscy, najbardziej postępowi Moskale, gdy dążą do skojarzenia Słowiańszczyzny, nie wyobrażają jej sobie inaczej, jak pod przewodnictwem Moskwy.

Że temu najprzeciwniejszem być musi polskie poczucie narodowe, o tem nie potrzebujemy nawet nadmieniać; również zbyteczną byłoby dowodzić, że przeciwną temu być musi polska polityka narodowa, której celem ostatecznym zawsze jest zjednoczenie rozerwanych ziem i oswobodzenie ich z pod panowonia obcych narodów, choćby nawet

spokrewnionych pod względem plemienności, jakim to narodem są Moskale. Ale to chcemy tu szczególnie zaznaczyć, że tak owo poczucie narodowe, jako też i polityka narodowa, nie jest bynajmniej rzeczą wywołaną sztucznie, wytworzoną przez poetów i publicystów (jak to chętnie tę rzecz wystawiają organa hegemonów niemieckich i moskiewskich). Są to proste wyniki posłannictwa dziejowego narodu polskiego, są one tylko wynikiem prawideł wszechdziejowych, któremi nie sam naród polski, ale cały rodzaj ludzki bezwiednie się rządzi.

*Verbiete du dem Seidenwurm zu spinnen*

powiedział niemiecki poeta, tak my musimy powiedzieć o polskiej narodowej poezyi i publicystyce:

*„zakaż jej być patryotyczną.“*

Nie poeci i publicyści polscy, nie spiski i sprzysiężenia, nie powstania zbrojne a nawet bezbronne (jakiem było to w r. 1863) wytworzyli „sztucznie“ poczucie narodowe, myśl o przyszłości Polski; ale ta myśl, która jest prostym skutkiem kombinacyi stosunków wszechdziejowych, posłannictwa pojedyńczych plemion zamieszkujących Europę i wzajemnego ich ku sobie położenia, myśl, która jest owocem prawideł wszechdziejowych, ta myśl wydała jako nasienie owo poczucie narodowe; ona steruje polityce narodowej, ona natchnęła poetów i jest mistrzynią publicystów. Przez te czynniki i w tych czynnikach wciela się zwrotna myśl narodowa, aż wreszcie stanie w zupełnej swojej postaci, stanie jako Minerwa, co wyskoczy z głowy Jowisza: ludu polskiego.

Ludu polskiego, mówimy, bo on jest źródłem, chociaż nie świadom tego, owych natchnień i czynów bohaterskich; on jest ojcem owych mężów, którzy przykładają ucha do serca jego i nadsłuchują tętnów jego życia, a następnie ujmują je w słowa i wyrażają w czynach; z niego powstają pokolenia bohaterów, którzy z owym świętym uporem, o którym już mówiliśmy wyżej, idą na śmierć, aby wydać wiekopomne świadectwo o życiu i posłannictwie narodu, do którego należą.

Zdaje mi się, że kto zna cokolwiek piśmiennictwo nasze i jego rozwój porozbiorowy, kto się dobrze zastanowił nad ruchem politycznym, jaki się odbył w naszym narodzie równocześnie z ruchem całej Europy, a zwłaszcza nad najnowszemi tegoż dobami w r. 1831, 1846, 1848 i 1863, ten nie może zaprzeczyć, że ruch ten ogarniał coraz większe koła, wnikał coraz głębiej w rdzeń narodu i że jeszcze się nie skończył. Zrozumieli to bardzo dobrze Moskale. Głosili oni w pismach swoich, że pierwsze powstanie Polski było szlacheckiem w r. 1831 i dla tego upadło, drugie było już mieszczańskiem i także upadło (dla tego, że nie ogarniało jeszcze całego narodu), a trzecie będzie włościańskie. Zaślepienie polakożercze nie dozwoliło tym publicystom wyciągnąć logicznego wniosku ze swoich, bardzo zresztą trafnie postawionych, premissów, a mianowicie, że dopiero to trzecie powstanie doprowadzi sprawę polską do zwycięztwa, bo ogarnie cały naród. Oni twierdzili, że po tem trzeciem powstaniu, które uważają słusznie za konieczne następstwo dwóch poprzednich, że po ogólnem ludowem powstaniu Polska dopiero gruntownie upadnie, aby się więcej nie podnieść. Tak jest, upadnie gruntownie ów dawny gmach, którego resztki jeszcze pozostały, ale stanie natomiast gmach nowy, niepożyty, w którym obce żywioły gościć nie będą.

Nadmieniliśmy już, że główną dążnością rozwoju narodowego w Polsce jest oswobodzenie się z pod władzy obcych narodowości. Ztąd pochodzi to zjawisko, że naród polski nawet od czasu do czasu godził się ze swojemi zaborczemi rządami, jeżeli te mu tylko otwierały nadzieję, że będą popierać jego rozwój narodowy, lub wcale, że ujmą ster sprawy jego wyzwolenia się w swoje ręce. Takie nadzieje obudzał w Polakach rząd moskiewski, i ztąd poszło, że w Alexandrze wielka część narodu upatrywała przez pewien czas swojego zbawcę. Nadzieja była złudną; tem większe było też oburzenie, gdy się przekonano, że owa nadzieja była obłudą, że wyzyskiwano patryotyzm tylko dla umocnienia hegemonii moskiewskiej. Rząd moskiewski posiadał tyle zręczności, że umiał wyzyskiwać patryotyzm Polaków. Teraz kiedy już obłuda nie popłaca, kiedy podobno wszyscy Polacy, a przynajmniej wszyscy prawi Polacy wyleczyli się z tego obłędu, że Moskwa może i zechce kiedy co uczynić dla podniesienia narodu polskiego, zrzuciła i Moskwa ostatecznie swoję maskę, a wystąpiła jawnie i bezwzględnie z polityką zmoskwicenia. Powinnoby to być nauką dla innych narodów słowiańskich, względem których Moskwa dziś jeszcze używa tej samej maski, jaką przez czas niejaki Polaków łudziła.

Z tego dążenia narodowego i przechylania się do każdej potęgi, w której upatrywać można było poparcie dla sprawy narodowej, tłumaczy się budowanie Polaków na Francyą, gdzie jednakże przy trzeźwem zapatrywaniu się na rzeczy nie należało nigdy więcej upatrywać, jak tylko współczucie narodu francuzkiego dla Polski. Co się tycze politycznego interesu Francyi, to nie było między tem mocarstwem a Polską, zwłaszcza od czasów podziału Polski, nigdy żadnej wspólności. Było i tu złudzenie, ale złudzenie to było raczej dobrowolne ze strony Polaków, niż rozmyślne ze strony Francyi. Nawet Napoleon, który stworzył Księstwo Warszawskie, który część armii swojej rekrutował z Polaków i pozwalał tej części armii tworzyć zawiązek przyszłego wojska polskiego, który wreszcie nasuwał Polakom ciągle myśl odbudowania ich ojczyzny, nie widział w tem bynajmniej żadnego pomyślnego interesu dla Francyi, aby przyłożyć samemu ręki do odbudowania Polski i dać początek do utworzenia z niej potężnego mocarstwa. Owszem była to jedyna podobno strona w całej polityce Napoleona, która zdradzała



**Geneza Proletaryatu.** *(str. 15.)*

pewną trwożliwość i brak stanowczości w obec Moskwy. Nie widzimy w tem nic dziwnego; Napoleon wyznał sam, że odbudowanie Polski nieleżało w interesie Francyi, a to, czego nie wyznał, było dla trzeźwych polityków przecież widocznem i jawnem, że pochop, jaki on dawał dążeniom Polaków do oswobodzenia ich ojczyzny, był tylko chwilowym środkiem potrzebnym dla poskromienia Moskwy i Austryi, ale nigdy stałym celem jego polityki. Gdyby mu się było udało opanować Moskwę i Austryą, tak aby były jego wasalami, byłby uczynił niezawodnie z Polski tylko strażnicę, aby trzymać tych wasalów na wodzy, ale nigdy potężnego i niezależnego mocarstwa. W ogóle pod tym względem nie należy się nigdy łudzić, jakoby mocarstwo którekolwiek pomagało do spotężnienia drugiego mocarstwa lub do utworzenia go, wyjąwszy, iż samo czując się słabnącem i obawiając się upadku, pragnie mieć sojusznika, na którymby się oprzeć mogło.

Sojusz między słabymi przeciw mocnemu, między mocarstwem podupadającem a narodem, który pragnie powstać i wzróść w mocarstwo, jest najnaturalniejszym, ale sojusz między mocarstwem w sile potęgi swej stojącem a narodem, który pragnie dopiero powstać, nie jest naturalnem. Dla tego nazwaliśmy dobrowolnem złudzeniem ze strony Polaków budowanie na to, że Francya wskrzesi Polskę, bo Francya była dotąd potężną i nie potrzebowała tworzyć nowego mocarstwa, aby mieć o jednego współzawodnika więcej. Dziś Francya upadła i nie potrzebuje a nawet nie może wskrzesić Polski dla swojego poparcia, bo jej naturalnymi sojusznikami są jej sąsiedzi i współplemieńcy: Hiszpania i Włosi. Z temi w związku może jeszcze Francya kiedyś dyktować prawa jeżeli nie całej, to przynajmniej połowie Europy.

Dziwnem musiało się wydawać politykom, pojmującym interes Francyi i Polski, to oglądanie się Polaków na Francyą, a raczej to poleganie na niej, gdyż nie miało ono innej podstawy, jak obopólną przychylność tych dwóch narodów dla siebie, podobieństwo usposobień, wreszcie wspólne wstręty i nienawiści do innych narodów, a raczej do ich rządów. Pomimo tego upatrywało wielu polityków w tej właśnie wspólności uczuć między temi narodami także i pewną wspólność interesów politycznych, aż dopiero w ostatnich czasach, zwłaszcza gdy Francya stała się rzecząpospolitą, okazuje się coraz jawniej, że nie wspólność interesów, ale uczucia łączą te dwa narody. Nie należymy do tych, którzy uczucia, sympatye i antypatye wypuszczają zupełnie z rachuby dziejów i losów narodowych, a zatem nie wykreślamy ich także z rachuby polityki; ale na nich opierać wyłącznie i od nich czynić zależnemi losy narodów, sądzimy, że niepowinien żaden sumienny patryota.

Dziwniejszą nad sympatye francuzkie, a nawet nad owe wyżej nadmienione budowanie pewnych nadziei na polityce Moskwy, musiała się wydawać rachuba polskich patryotów na Austryą. Rachuba ta powtarzała się kilkakrotnie w ciągu dziejów porozbiorowych, nawet w owym czasie, kiedy arcyksiążę Ferdynand-Este zajął w r. 1809 Warszawę. Byli i tacy (jak pisze Władysław Ostrowski w żywocie ojca swojego, Tomasza Ostrowskiego), co mówili: „Niech zacny Ferdynand koronę całego chwyci królestwa, a pogadamy z nim!... bić go przestaniemy.“

Była to chwila, może nawet już nie pierwsza w dziejach porozbiorowej Polski, kiedy pewna część patryotów polskich byłaby gotową ofiarować członkowi austryackiej dynastyi koronę, byle zjednoczyć ziemie polskie pod jedno berło, byle utworzyć niepodległe mocarstwo polskie.

Nie widziała w tem Austrya swojej korzyści, a raczej nie umiała jej poznać. Korzyść była, i była sposobność postawienia się na stopie groźnej dla Napoleona zarówno jak dla Moskwy, dwóch nieprzyjaciół Austryi.

Austrya zamiast oprzeć się na Polsce, skojarzyła się z Moskwą i Prusami, które to mocarstwa tylko tak długo są dla Austryi pozornie przyjaźne, jak długo nie upatrzą sposobnej chwili, aby ją zniszczyć. Moskwa ubiegła wtedy Austryą w polityce dla niej najkorzystniejszej, pozyskała sobie Polaków na tak długo, jak długo jeszcze grozić jej mogła potęga innych mocarstw europejskich. Gdy się Moskwa już czuła bezpieczną, gdy jej się udało nawet w kwestyi wschodniej pozyskać współdziałanie innych mocarstw i przez nie dojść do najpożądańszego dla niej na razie osłabienia Turcyi, zaczęła tłumić coraz więcej rozwój narodowy w Polsce. Wywołane przez to postępowanie Moskwy powstanie listopadowe obudziło znowu w Polakach jakieś instynktowe skłonności ku Austryi.

Znowu zamarzono o tem, aby ofiarować jednemu z arcyksiążąt austryackich koronę polską, a nawet byli tacy, co czynili stanowcze kroki w tej mierze. Mówią, że nawet Austrya wcale nie była temu przeciwną, i że wszystko się rozbiło o upor cesarza Franciszka, który nie chciał mieć korony nadanej przez sejm i naród, ale chciał ją wziąć, a na to nie było można wynaleźć stosownego sposobu.

Podczas powstania w r. 1863 budziły się także sympatye dla Austryi, i utrzymują się dotąd, a nawet wzrosły, od kiedy Austrya weszła na drogę konstytucyjną, i odkąd Galicya uzyskała cokolwiek swobody dla rozwoju narodowego.

Skłonności dla Austryi nazwaliśmy instynktowemi, a raczej powinnibyśmy je nazwać przeczuciowemi. Są one oparte na przeczuciu, że położenie polityczne Austryi musi z czasem wywołać wskrzeszenie Polski, skojarzenie jej z ludami stanowiącemi rzeszę austryacką i połączenie tego średnio-europejskiego komplexu węzłem politycznym, federacyjnym, w jedno mocarstwo. Kto do tego ma dać inicy-

atywę, kto to zdziałać może i zdziałać powinien, to nie jest przedmiotem niniejszego wspomnienia, które nie ma być rozprawą polityczną, ale tylko mą zwrócić uwagę na skutek i owoce stuletnich dziejów porozbiorowych.

Cały tok tych dziejów stuletniej niewoli narodowej przedstawia nam zdążanie narodu polskiego ku temu, aby się stać fermentem w procesie dziejowym, z którego się ma wyłonić zfederowane mocarstwo środnioeuropejskie, słowiańskie głównie, ale niezawodnie, co już z samej zasady federacyjnej wynika, kojarzące ze sobą na równem prawie inne narody, jeżeli do tej federacyi należeć zechcą (jak Węgry). Zdążanie to odbywa się stopniowo, bo naród sam musi się skonsolidować społecznie i politycznie, aby przystąpić do zfederowania się z innemi. Ani jedno ani drugie nie przyszło jeszcze do skutku, ale widzimy z każdą ważniejszą przemianą dziejową coraz dalszy postęp ku temu celowi, a widząc postęp nie możemy wątpić, że cel osiągnięty zostanie.

Dla tego poglądamy z ufnością w przyszłość, pomimo że niewola nasza narodowa trwa już sto lat, i kończymy to stulecie z tą otuchą w sercu, jaką na początku niewoli wypowiedziały nasze legiony w marszu Dąbrowskiego.

K. Widman.

# Geneza Proletaryatu.

(Obacz rycinę na str. 13.)

Oto przedstawiamy Ci, szanowny Czytelniku, starego znajomego. Jestto ten sam Antek czy Jaśko, co tyle nam nieraz naprzykszy się podczas przechadzki czy to na wałach Hetmańskich, czy Zamkowych, albo w ogrodzie Jezuickim. Ten sam natręt, wiosną wmawiający w nas uporczywie, że powinniśmy być amatorami fiołków (bezwonnych) lub róż (z cudzego ogrodu), a wieczorami pod portykiem teatralnym raczący nas na siłę ogniem do sygara, gdy w międzyaktach ulegliśmy zachciance płuc na parę łyków nikotynowego obłoku. Ten sam mały twój przyjaciel, który niesie ci współczucie i pomoc w chwili, gdy na placu św. Ducha syn przepaści, Boreasz, znienacka zdejmie ci kapelusz z głowy i unosi prosto na łono Pełtewne; ten sam, który znajdzie ci się zawsze pod ręką w przygodzie ulicznej, i usłuży ci bezinteresownie w takim n. p. wypadku, gdy przez nieostrożność rozsypiesz zwitek miedziaków na gładki bruk.

Nie ogranicza się zresztą pole jego czynu na ciasnym zakresie usług humanitarnych, wyświadczanych cierpiącej ludzkości w dziedzinie wałów Hetmańskich, placu św. Ducha i przedsionku teatralnego; godziny swoje przedpołudniowe poświęca tenże sam Antek czy Jaśko z niemniejszem powodzeniem przeglądowi miejsc targowych, a niechybnie prawie spotkać go możesz o tej porze na północnej połaci rynku lwowskiego, gdzie sadownicy okoliczni rozkładają ponętne swoje tabory — i nie spotkasz go z pewnością nigdy bez wdzięcznego jabłka w ustach... W danym razie Antek jest też figurą publiczną; wszak on to pomaga pachołkowi łandwójtowskiemu w podawaniu obwieszczeń świetnych władz do wiadomości ulicznego ogółu, i on to niby trybun w rozmiarach swego wieku jest żywym komentarzem tych obwieszczeń wobec obywateli, którzy nie zdążyli na rzecz za pobudką tarabanową, albo nie zrozumieli wysokim stylem wypowiedzianych słów pachołka łandwójtowskiego. Tenże Antek jest wreszcie niepoślednim czynnikiem wszelkich kocich muzyk, z takiem powodzeniem wykonywanych niekiedy na bruku lwowskim, co więcej: on to jest jednym z owych centuryonów, co wydają hasła legii szybotłuków lwowskich.

Patrzcie, jak ten mały wisus w chwilach „wolnych od zajęć“, t. j. w chwilach, gdy już znużony i znudzony jest czyhaniem na sposobność łatwego grosza, gdzieś pod zbrojownią Jana III. lub pod jatkami krakowskiemi po ocienionym chodniku doświadcza swych zdolności gimnastycznych! Twarda już musi być ta młoda czaszka, skoro w zetknięciu się z twardą zaprawdę płytą trembowelską nie ugnie się pod ciężarem całego ciała! Owszem zdawałoby się, że Antkowi sprawia wiele przyjemności położenie, w jakiem przedstawia go nam obrazek; krew nie zaprzątnięta nigdy żadną żywszą funkcyą w tym organizmie, ma tu może jedyną sposobność do rozżywotnienia narzędzi wyobraźni i myśli. Posłuchajmy tylko, jaką ten człowieczek prowadzi sam z sobą rozmowę, patrząc na świat z dołu, jak przywołuje przechodniom: „Trzymajcie, trzymajcie, bo ucieknie — o, o! ucieka! ziemia ucieka! kręci się jak waryatka! Chachacha, czy słyszał kto, żeby się ziemia obracała jak na kołowrotku? A dalibóg obraca się — ucieka! — Trzymajcie dobrzy ludzie, bo ucieknie i nie będzie ziemi. A co się potem stanie? Gdzie będziemy żyli? O, i nie będzie tego policyanta, co tam stoi na rogu do góry nogami, ani tych koni, co ciągną wóz po ulicy jak po suficie, ani tego pana... Panie dobrodzieju, wielmożny panie, jaśnie wielmożny dobrodzieju: nie miałem dziś nic w ustach, centa, małego centa! Dwa, trzy ko-

ziołki za centa! Albo wyszturkam tego żydziaka za centa, a może nogę podstawić tamtej żydówce? Centa, tylko centa! — O, pan dobrodziej chusteczkę gubi z kieszeni, dalibóg byłaby wypadła, gdybym nie ostrzegł... centa.“

— Masz! Ale wiesz ty, że to bardzo nieładnie żebrać takiemu chłopczykowi!

— Panie dobrodzieju, ja nie żebrak.

— A widzisz? przyznajesz to sam. Czemuż więc napierasz się tak tego centa od obcych ludzi? Przecie nie jesteś ani kaleką, ani dziadusiem kościelnym; młody, zdrowy chłopak, aż miło! Uczyszże ty się czego?

— Gdzieby tam nauka na moję głowę, albo szkoła na moje nogi, panie dobrodzieju! Ja nie panicz ani ludzki syn żaden, panie dobrodzieju...

Jakto? nie masz matki, ojca, nikogo?

— Abo ja wiem, czy mam ojca?

— No, a matkę?

— Ej, są tam jakaś matka, są! Ale co człowiekowi po takiej matce, panie dobrodzieju? Wypędza, jeść nie da, a powiada: „Masz już swój rozum, to sam szukaj sobie chleba“ — Ta ja szukam...

— Ależ ludzie inaczej szukają chleba! Pracować uczciwie trzeba na chleb. Czemuż nie uczysz się rzemiosła jakiego, albo nie staniesz do jakiej roboty?

— Ej, czy ja wiem czemu, panie dobrodzieju! Dziękuję za czworaka panu dobrodziejowi! Tożto będzie bal, ejha!

Gwiznął w złożone palce, przewrócił koziołka i tymże samym zapędem potrąciwszy kalkulującego pod bramą żydka i nucącą w myśli nabożne godzinki stragániarkę, znikł na zakręcie ulicy, tak że nim się spostrzegłeś, już on w dziesiątej ulicy gra w guziki z gromadką normalistów, którzy poszli dziś „poza szkołę“, albo nową otwiera widownię swoich centowych koziołków.

Tak mijają miesiące, lata. Trudno właściwie orzec, od czego to zawisło, ażebyś po latach Antka tego nie spotkał znów przypadkiem na ulicy między owemi robotnikami w jednostajnym, grubym ubiorze, których na dzień boży „pożycza“ się z murów więziennych dla bożej pracy. Lecz jeźli doznasz tej pociechy, że w uczciwych ludzi gronie spotkasz po latach urwisza z wałów Hetmańskich, podziękuj w sercu Stwórcy, że pozwolił człowiekowi przynieść z życiem swem na świat i lepsze instynkta, które prędzej czy poźniej rehabilitują jego byt.

Społeczeństwo zazwyczaj obojętnem jest dla tego nieludzkiego syna. Szanowni bliźni albo się gorszą jego obnażonem kolanem i łokciem, albo ulitują się i rzucą centa... Troskliwe zaś o ład społeczeński organa porządku i moralności publicznej zazwyczaj ignorują go, stosownie do swej wysokiej powagi.

Orsza.

# DZIEWCZĘ POLSKIE.

BALLADA LUDWIKA JABŁONOWSKIEGO.

„Panowie bracia! dalej na konie!
Daleko mamy pohasać;
Tam w owej stronie, gdzie łuna płonie,
Tam, tam będziemy popasać.“

Na konie wskoczą, sztandar roztoczą,
Wesoło trąbką zadzwoni;
Rumaki spięli, bramę minęli,
A na ich czele on goni.

Pędzą przez drogi, miną rozłogi,
Miną i stepy i pola,
A gdzie dokoła plądruje sioła
Zawolczyk, czartów swawola.

„Hej bracia wiara! męstwo i wiara,
Odwaga bracia! Bóg z nami!“
Turknęły piki, runęły szyki,
I już się sieką z wrogami.

„Ho, ho! gdzie nasza zafurknie pika,
Próżno się bronisz psi synie!
Hartowna pika w krwi najezdnika
Łupieżcy serca nie minie.

Znajcie zuchwali grom polskiej stali!
Już ich wysiekli i lecą,
Aż gdzie za siołem tańczą półkołem,
Gdzie półmiesiące się świecą.

„Hej bracia wiara! męstwo i wiara,
Odwaga bracia! Bóg z nami!“
Zgęszczą się szyki, zafurkną piki,
I już się sieką z wrogami.

„Wiara wosoło!“ — Wpadli na czoło
I już na karkach im siedzą;
Szyki złomali, w trąbkę zagrali,
Tatarzy gdzie ujść nie wiedzą.

Ten żwawo goni, ów żwawo stroni;
Lecz przed Zawolcem Dniestr płynie,
Wstrzymał się w biegu, stanął u brzegu,
Spiął konia — już na głębinie.



Dziewczę polskie. (*Rysunek J. Kossaka.*)

Tam, tam, na prawo, mknie Tatar żwawo,
Przy nim na siodle dziewczyna:
„Hej za mną dzieci!“ — kordem zaświeci —
„To moja córka jedyna!“

Dziewcze się zrywa i Boga wzywa,
I pchnie Tatara na tonie;
Konia zwróciła, na brzeg wskoczyła,
I już u ojca na łonie.

# NIESZCZĘŚLIWA.

POWIEŚĆ

PRZEZ WOŁODEGO SKIBĘ.

I.

Czytelniku, trafiłeś w samą porę. Nie będziesz potrzebował siedzieć kwandransa w krześle, wpatrując się w afisz i słuchając strojącej instrumenta i wygrywającej uwerturę orkiestry. Orkiestra nasza odegrała już swoje, zasłona właśnie się podnosi i widowisko się zaczyna.

Masz przed sobą panieński pokoik zamożnego wiejskiego domu. Siedzą w nim przy oknie dwie śliczne, równego prawie wieku dziewczyny i patrzą na drogę, po której posuwa się w oddaleniu, wkrótce zniknąć mający za olszowym gaikiem tuman kurzawy.

Buduarzyk, który ci z taką niedyskrecyą odsłaniamy, jest godnym dwojga ślicznych dziewcząt, znajdujących się w nim w tej chwili. Nie ma tam zagranicznego przepychu, kosztownych cacek, miękkiego zbytku; są sprzęty i graciki potrzebne lub zwykłe. Gdybyś na to wszystko, co się tam mieści, spojrzał okiem handlarza i otaksował tak, jakby być mogło na licytacyi z wolnej ręki przybite, zapewne wypadłaby dość skromna sumka; ale spojrzyj okiem artysty, a na wszystko razem nie znajdziesz ceny. Wszędzie ład i symetrya, wszędzie czuć duszę i dotknięcie delikatnej rączki kobiecej; wszystko, co jest, jakby wiedziało, że się znajduje pod spojrzeniem oka, co przywykło spostrzegać dokoła wdzięk i gustowność. Kto ma smak, nie dostrzeże nigdzie przeładowania ani braku, wszędzie wszystkiego tyle, ile trzeba, i wszystko na swojem miejscu.

Moglibyśmy, a nawet na mocy przyjętego przez powieściopisarzy zwyczaju, mielibyśmy prawo wyliczyć wszystko, co stanowiło owo szykowne umeblowanie panieńskiego pokoju; lecz coby komu przyszło z tego inwentarza? Prawda, że zadanie powieściopisarza podobne jest do zadania komornika lub sekwestratora, gdyż i jeden i drugi potrzebuje „zająć“; nie idzie jednak za tem, żeby obydwaj tegoż samego potrzebowali używać procederu. Zostawiamy zatem sekwestratorom, co sekwestratorskiego, przekonani, że suchym spisem rozmaitych drobnostek, zapełniających pokój, nie dalibyśmy wyobrażenia o tem, co kobiéta z gustem zrobić potrafi ze swojego mieszkania, czy w niem zresztą posiada najdrogocenniejsze wyroby stołecznego kunsztu, czy prostsze i zwyczajniejsze sprzęty.

Dwie towarzyszki, siedzące przy oknie i zapatrzone w oddalający się tuman kurzawy, jak już powiedzieliśmy, były śliczne. Każda z nich zosobna mogła zachwycić, ale nigdy obie jednego. Kto się odrazu zapatrzył w cudnie narysowaną twarz brunetki, o ciemnem, iskry rzucającem oku i wiecznym, a co chwila inakszym na licach uśmiechu— koło tego druga, modrooka blondynka, o poważnym i uroczystym niekiedy wyrazie twarzy, na której częściej myśl się głębsza błąkała niż pusty uśmiech swawolił, mogła przejść pewna, że nie zrobi na nim wrażenia. Zato kogo pociągnął ku sobie ten wyższy i mniej bijący w oczy wdzięk blondynki, tegoby wszystkie magnesy i cała elektryczność brylantowych spojrzeń czarnego oka brunetki oderwać od niej nie zdołały. Były one obok siebie jak żywy kontrast, jak dwie dwóch światów mieszkanki, inakszem żyjące życiem, z inakszych stworzone pierwiastków i do innych na świecie przeznaczone kolei.

Siedziały tak jeszcze przez jakąś chwilę milcząc; nareszcie tuman kurzu, oddalający się coraz bardziej, znikł im zupełnie z oczu za olszyną, która się rysowała w dosyć znacznej odległości ku krańcowi widnokręgu.

— A zatem pojechali — odezwała się blondynka.

— I nie wrócą aż—odpowiedziała śmiejąc się brunetka— poczekaj... porachuję, kiedy się znów zjadą razem... Pan Julian bywa co trzy dni, a pan Ignacy co cztéry... dziś mamy wtorek... w piątek jeden... w sobotę drugi... w poniedziałek ten znowu... a we środę tamten... we czwartek...

Rachowała na palcach, ale tu paluszków zabrakło, więc się roześmiała i rzekła:

— Eh! temu rachunkowi widać nie będzie końca, dość, że się znowu kiedyś zjadą i spotkają.

— Naprzykład za dwanaście dni... od niedzieli za tydzień... poddała z uśmiechem brunetka.

— O! o! jakeś ty to prędko wyrachowała!.. ja nie pojmuję, jak to można...

— To rzecz bardzo prosta... trzy razy cztéry, widzisz, jest dwanaście...

— Tak... ale co ma do tego tabliczka mnożenia?.. co robi Pytagores między panem Julianem i panem Ignacym?..

— Kiedy jeden przyjeżdża co trzy dni, a drugi co cztéry, to naturalne, że — zaczęła objaśniać blondynka.

Ale żywa towarzyszka nie pozwoliła jej skończyć wykładu.

— Daj pokój! daj pokój! — przerwała — wierzę tobie i Pytagoresowi na słowo... wiem, żeś lepsza odemnie matematyczka, historyczka i jeogra... jeogra... No, poddajże mi, jak to będzie, bo jeograficzka przecież nie można.

— Jeografka zapewne.

— J'y consens... niech będzie jeografka... przystała szczebiotliwa o czarnem oku dziewczyna.—A zatem według

twojej geografii, historyi i matematyki zjadą się znów od niedzieli za tydzień, potem znów będą przyjeżdżali po jednemu, i znowu się kiedyś spotkają, i tak dalej, dalej, bez końca.

— Czy cię to nudzi Stello? — zagadnęła blondynka.

Brunetka miała imię Estella, a nazywano ją Stellą. Matka jej długo szukała po kalendarzach i romansach, nim wynalazła i zdecydowała się na to niepospolite a dźwięczno-brzmiące nazwanie jedynaczki. Z blondynką rodzice nie zadawali sobie tego kłopotu; jakie imię sobie na świat przyniosła, takie jej pozwolili nosić całe życie. Nazywała się Marynia.

— A! nie! — odpowiedziała Stella — owszem bawią mnie bardzo te systematyczne konkury... Niby to źle, moja droga, mieć aż dwóch stałych, oficyalnie uznanych adoratorów, kiedy tyle panien nie ma ani jednego, i to nie z braku dobrych chęci, tak jak na przykład ty, Maryniu, która wszystkich mierzysz zimno i z góry, ale pomimo wszelkich sztuk i usiłowań, jakich te biedaczki nie szczędzą? Niby to niezabawne patrzeć, jaki każdy z nich kontent, gdy się z drugim nie zjedzie, i jak na siebie zyzem spoglądają, jak się starają zaćmić jeden drugiego, gdy się spotkają...

— Niby planety w peryodycznym obiegu na jednej linii ze swem słońcem...

— Oczywiście, jak planety, moja ty droga astronomko — klasnęła w rączki Stella — i ze swem słońcem... mille remercîments za komplement... adoptuję ten dowcip avec ou sans ta permission, Maryneczku, i będę ich planetami nazywała... Koniec końcem jednak...

Szczebiotka przerwała sobie, może nie chcąc dopowiedzieć swej myśli, a może też nie mając żadnej do dopowiedzenia.

— Trzeba będzie wybrać jednego z dwóch — nasunęła jej poważna ciągle i zlekka tylko uśmiechająca się towarzyszka.

— Ba! wybrać! — odpowiedziała z niecierpliwym gestem Stella. — Czy wiesz, że to mi przypomina bajeczkę, którą mnie do rozpaczy przyprowadzały piastunki, gdym była mała: „Ty mówisz wybrać, mama mówi wybrać, papa mówi wybrać... Chodziła czapla po zielonej desce, powiedzieć ci jeszcze?“ I tak dalej, da capo senza fine... Ja sama sobie mówię, że trzeba będzie wybrać, i nieraz myślę nad tym wyborem, ale to trudno...

— Nie podobają ci się obaj?..

— Tego nie mówię... owszem, chyba przeciwnie...

Poważna Marynia roześmiała się serdecznie.

— Co?.. obaj ci się podobają?

— Mniej więcej...

— Ależ, bój się Boga, Stello, to tylko mężczyźnie wolno mieć takie gusta, i to kiedy jest mahometaninem, albo mormonem... my kobiety...

— Ja to wiem! ja to wiem! — przerwała Stella — ale nie oburzaj się tak bardzo... w każdym z nich dwóch podoba mi się coś... a gdyby te dwa coś złożyć jedno z drugiem, no, toby był tylko jeden, czyli tyle właśnie, ile wolno...

— Rozumiem, to byłby twój ideał...

— Podobno.

— A więc poczekaj, przeczytam ci coś — rzekła podnosząc się Marynia.

— Czy nie co długiego aby?

— Nie, kilkanaście wierszy tylko.

— Kilkanaście... dobrze.. ale zlituj się, czytaj prędko, będzie się wydawało mniej.

Blondynka wzięła ze stolika ładnie oprawną książkę i przeczytała wiersz następujący:

Mama mówi, że w życiu potrzebny towarzysz,
I dość często się pyta: „O kim Zosiu, marzysz?“
Ha! kiedy mama pyta, no to dzisiaj mamie
Powiem najszczerszą prawdę, dalibóg nie skłamię.
Pan Ignacy ma wąsik, że aż spojrzeć lubo,
Pan Antoni posadę z pensyą dosyć grubą,
Pan Józef kamienicę na ładnej ulicy,
Pan Hieronim dwie wioski w żyznej okolicy,
Pan Jan listy zastawne w kasie ogniotrwałej,
Pan Piotr na hypotekach znaczne kapitały,
Pan Anzelm w perspektywie schedę milionową,
A pan Michał koronę dziewięcio-perłową.
Ja chociaż wszystkich ośmiu dobre strony chwalę,
Żadnego z nich nie kocham, śnię o ideale,
Którego wyjątkowe przymioty mnie wabią.
Mój ideał, mameczko, jest jak Michał hrabią,
Jak Anzelm ma wziąć spadek, jak Piotr procent bierze
Od sum poumieszczanych na pierwszym numerze,
Jak Hieronim z pól sprząta, jak Jan tnie kupony,
Jak Józef z komornego ma wpływ zapewniony,
Jak Antoni już znacznej dosłużył się płacy,
A do tego ma wąsik śliczny jak Ignacy.

Stella z niespodziewaną powagą wysłuchała tego wierszyka, zajął ją widać, a gdy Marynia skończyła, przybrała nadąsaną minkę i rzekła:

— Muszę ci powiedzieć, że jesteś satyryczka, złośliwa, niedobra, i tam dalej, i tam dalej... dośpiewaj sobie resztę w swej duszy... jak mówi.. nie pamiętam kto...

— Mickiewicz.

— Niech będzie i Mickiewicz... gniewam się na ciebie.

— Czy naprawdę? — zapytała blondynka wlepiając w Stellę piękne swe oczy.

Przybrana na chwilę maska powagi i nadąsania spadła jak zaczarowana z twarzy Stelli, zastąpił jej miejsce zwykły, roskoszny uśmiech, a rączka figlarnym klapsem wypiętnowała na dłoni Maryni odpowiedź.

— Masz za takie pytanie, co ci się należy — dodała.

— Przyznaj mi jednak, żem dosyć trafnie dobrała cytaty, wskazując wzrokiem na odłożoną na bok książkę — zagadnęła Marynia.

— Ha! moja droga, albož ty kiedy powiesz albo zrobisz co nietrafnego?.. Nie wiem, zkąd ci się to bierze, ale ty jesteś mądrość chodząca, filozofia w formacie ośmnastoletniej dziewczyny, oprawna w piękną buzię jak w półskórek... nie tak jak ja, pustak i trzpiot, co zawsze na zawołanie i bez zawołania głupstwa plotę. Ale poczekaj... mówmy rozsądnie.. będę przez kwandrans poważną... trafi mi się to może poraz pierwszy w życiu, ale cóż?... muszę się usprawiedliwić przed tobą... uważaj zatem i nie przerywaj... jak chrząknę, powaga się zaczyna.

— Ciekawam.

Stella pobiegła do stolika, nalała sobie szklankę wody, postawiła ją przed sobą, usiadła, poprawiła sukni, chrząknęła i zaczęła tonem profesora na katedrze:

— Był w pewnej rzeczypospolitej pewien król, który był tak wielkim filozofem, że sława jego aż do nas doszła. Kiedy to było, nie wiem, jak się nazywał, nie wiem, co wielkiego zrobił, także nie wiem, w tej chwili jednak mniejsza nam o to. Wiem tylko o jego największym czynie, to jest, że ze swego państwa, chciałam powiedzieć z tej swojej rzeczypostolitej, wszystkich poetów wypędził...

— Co też ty gadasz, Stello!.. tym filozofem był Plato, a jego rzeczpospolita istniała na papierze... czyli raczej... bo to było przed wynalezieniem papieru... na papyrusie...

— Dajmy na to, że się nazywał, jak powiadasz — prawiła dalej z niezmieszaną powagą wesoła dziewczyna — i że miał państwo papierowe, jeszcze przed wynalezieniem papierosów, to w niczem rzeczy nie zmienia; zawsze zrobił to, coby się należało zrobić w rzeczypospolitej praktycznego życia...

— Jakto?... wypędzić poezyą? zupełnie?.. a cóżby nam zostało za ozdobę życia...

— No, to choćby wygnać niecałą... gruchaniom o słowiku i strumyku, wzdychaniom do Niej i romantycznym historyom dwojga zakochanych pozwalam zostać... ale takie satyry, jak ta, którą mi przeczytałaś, nie znajdą u mnie miłosierdzia... Precz z niemi!.. Bo powiedz sama, do czego to prowadzi?.. Jest, dajmy na to, na świecie jedna jak na lekarstwo rozsądna dziewczyna... nazywa się przypuśćmy...

— Stella?..

— Niech będzie Stella... dlaczegoż miałaby się nazywać inaczej? Otóż ta dziewczyna nie umie tak dobrze tabliczki mnożenia jak inna, którą nazwijmy...

— Marynią?...

— Właśnie... Ta inna nie wie, czy Plato był królem czy filozofem, i czy w jego państwie papier był już zrobiony z gałganów, czy dopiero mieszkańcy stanowili materyał do tego fabrykatu... ale ta dziewczyna wie, że co cztery wioski, to nie dwie, i że ładne oczy i ładne wąsy w posiadaniu jednego właściciela mogą go uczynić piękniejszym, niż gdyby były rozdzielone na dwóch posiadaczy. Otóż ta Stella zwierza się z tem swojem przekonaniem tej Maryni, ta Marynia śmieje się z tego, a z kąta wyłazi pan poeta-satyryk, i zamiast iść na pomoc słabszej, która się ani astronomią, ani botaniką, ani Pytagoresem bronić nie może, dalejże w sukurs mocniejszej, aby pognębić nieszczęśliwą, której się raz trafiło coś rozsądnego powiedzieć!.. Powiedz sama, czy takiego jegomości godzi się cierpiéć w porządnie urządzonej rzeczypospolitej?... Tyś sobie przyzwała na pomoc jakiegoś wierszopisa, a ja pana Platona; teraz sama decyduj, kto wygrywa?

— Wiem, że żartujesz mimo tej przybranej powagi...

— Masz tobie!.. raz w życiu jestem poważną, a ona nie chce wierzyć w moję powagę...

— Ale wreszcie, gdybyś i seryo mówiła, to mogłabym ci jedno tylko odpowiedzieć...

— Cóż takiego?..

— Że gdyby cię widział taki ideał, taki człowiek, summa wszystkich przymiotów dodatnych moralnych i materyalnych, to musiałby się w tobie zakochać, słysząc cię szczebiocącą, moja Stello... Masz zatem prawo czekać, bo może nie będziesz czekała nadaremnie.

— Skończyłaś komplementem, co tłumacząc na prozę znaczy, że się sianem wykręcasz... bądź szczérą...

— Szczérze mówiąc, żal mi jednego z nich...

— Ignacego?..

— Tego mniej... Juliana więcej... O ile mi sądzić wolno, on cię kocha prawdziwie, wart miłości, a nawet do pewnego stopnia nie dziwię mu się, że ma nadzieję ją pozyskać.

— Dobrze! teraz weź znów tę straszną książkę, i wynajdź jaki wierszyk, z któregoby wypadło, że go kokietuję... podziękuję ci za to, bo to będzie nowy dowód, że poeci są straszni ludzie.

— Nie posądzasz mnie, Stello, żebym cię obarczała takim zarzutem; ale czyż ty możesz, mimo swej woli, nie zapalać głów młodym ludziom? Gdybyś była w stanie idąc do salonu zostawiać w tym pokoiku cały twój dowcip, wesołość, uprzejmość i większą połowę swych wdzięków, ha! to nie mówię... możebyś wówczas potrzebowała używać zalotności, by robić podobnie; ale taka jak jesteś... dość ci się pokazać...

— A nie pokazać się wcale byłoby niegrzecznie?.. nieprawdaż?..

— Podobno.

— Tym sposobem dałaś mi rozgrzeszenie, kochana Maryniu — roześmiała się Stella — nie jestem temu winna, że się we mnie kochają, i mam prawo oczekiwać, aż się pojawi mój ideał; sumienie moje jest z obu stron czyste, i po wierzchu i od podszewki, wszak tak?..

Marynia nic nie odpowiedziała.

— A ty jesteś pobita na wszystkich punktach w batalii, którą ze mną stoczyłaś... A! kiedy tak, to jestem szczęśliwa, bardzo szczęśliwa doprawdy. Bo ty nie uwierzysz,

jak to miło być uwielbianą, ubóstwianą, nawet przez tych, których się nie kocha... i gdyby mi się przyszło wyrzec tego... tobym powiedziała, żem się wyrzekła piękniejszej połowy życia... Albo nie... wolę ci się przyznać szczérze... nigdybym się nie zdobyła na tę ofiarę, żeby wypuścić dobrowolnie jeńca, który się raz dostał do mej niewoli...

— Wiedziałam o tem — szepnęła Marynia.

Na tem skończyła się rozmowa dwóch przyjaciółek. Stella po chwili wybiegła z pokoju, a Marynia, pozostawszy sama, powtórzyła parę razy z westchnieniem:

— Biedny pan Julian!.

II.

Mamyż powtórzyć za poważną towarzyszką wesołej Stelli jej litościwy wykrzyknik?.. mamyż ubolewać nad losem młodego człowieka, będącego igraszką w ręku pustego dziewczęcia?..

Nie!... Julian nie był tak biednym, gdyż go przynajmniej żałowano, a żałowała go istota tak piękna i miła, że można mu było tego współczucia zazdrościć.

Biednym prawdziwie w tej sprawie był rywal Juliana, Ignacy. I tym bawiła się jedna z dwóch, tak jak tamtym, ale nie żałowała go druga...

Dlaczego?... Alboż my wiemy?.. los tak chciał.

Julian i Ignacy byli sąsiadami rodziców Stelli, to jest mieszkali w tej samej okolicy, liczyli się więc do sąsiedztwa, chociaż ich wioski nie przytykały bezpośrednio do posiadłości państwa Jawskich. Pławice, rezydencya Ignacego, leżały na wschód, Żółta, siedziba Juliana, położoną była na zachód od Gromnic, w których poznaliśmy dwie nasze tak do siebie niepodobne przyjaciółki. Gdyby komu po tych jeograficznych wskazówkach wydało się dziwnem, że dwaj rywale, mieszkając w przeciwnych stronach, wyjeżdżali z Gromnic razem i razem znikali za olszyną, temu objaśnić powinniśmy, że tak z Pławic jak z Żółtej do dworu w Gromnicach dojeżdżać trzeba było z drogi bitej spory kawałek jedną dróżyną, i że wiedząc o swej rywalizacyi dwaj współzawodnicy, gdyby nie wyjechali jednocześnie, toby chyba nie wyjechali nigdy, gdyż ile razy się zjechali, zawsze jeden się starał przesiedzieć drugiego...

Julian Dziński z Żółtej i Ignacy Strzyż z Pławic byli rówiennikami, kolegami z ławy szkolnej i instytutu agronomicznego. Obaj bardzo młodo utracili rodziców, w jednym roku skończyli szkoły, w jednym roku odebrali prawie jednakowe nadszarpane majątki z rąk opiekunów, bywali w jednych towarzystwach i wreszcie zakochali się w jednej. Rozumie się, że ta ostatnia okoliczność naraziła na zwichnięcie zupełne ich serdeczny przedtem, koleżeński i przyjacielski stosunek.

Strzyż był bogatszym nieco od Dzińskiego; Pławice z dwoma należącemi do nich folwarkami przynosiły mu do dwudziestu tysięcy złotych polskich dochodu w latach średniego urodzaju, gdy Żółtą zaledwie na piętnaście rachować było można; za to Julian górował nad nim w niektórych względach, nie dających się otaksować na gotówkę, ale mających także swą niezaprzeczoną wagę. Mniej zamiłowany w polowaniu od Ignacego, więcej lubił umysłowe rozrywki, czytał dużo, grał na fortepianie, rysował, a w dodatku był przystojniejszy; chociaż i Ignacy ani powierzchownością ani nieokrzesaniem panien od siebie nie odstraszał, mimo swej namiętności do nemrodowego rzemiosła. Krążyła przytem o Julianie pogłoska, że czasami, w tajemnicy, nie wydając się z tem przed nikim, pisywał wiersze. Ile w tem było prawdy, trudno powiedzieć, to jednak pewna, że nigdy podobnej plotki nikt nie próbował wymyśléć na Strzyża.

Charaktery obydwóch większą pomiędzy nimi stanowiły różnicę, niż położenie towarzyskie, wiek, a nawet powierzchowność. Dziński był żywy, wrażliwy, lubiący mówić, zapalający się łatwo; Strzyż zimniejszy, prawie małomowny, upartszy w przeprowadzaniu swoich planów, gospodarniejszy i lubiący rachować się z groszem, na który tamten, chociaż nie marnotrawca, często jednakże nie uważał.

Od czasu, jak serca obu uwięzły w Gromnicach, wzajemne ich położenie stało się bardzo dziwnem. Żaden o tem nie mówił drugiemu, a każdy miał pretensyą, że mu przeciwnik z drogi ustąpić powinien; każdemu się zdawało, że on ma prawo do pierwszeństwa. Naturalnie w takiem położeniu żaden nie ustępował, i w sercach obu wyradzała się uraza, która przy pierwszej sposobności gwałtownie wybuchnąć mogła. Zewnętrzne jednak formy ich stosunku pozostały jak dawniej koleżeńskie, i kto nie wiedział, w jakiej sprawie los ich naprzeciwko siebie postawił, mógłby ich ciągle jeszcze uważać za najserdeczniejszych przyjaciół. Za to gdy byli sami, dawała się uczuć uraza i zawiść, tem przykrzejsza, że nie wypowiadana wyraźnie.

Zbytecznem byłoby mówić, że takie położenie było przykrem i nie miłem dla obu. To też unikali spotykania się w Gromnicach, każdy się starał w innym peryodzie składać swoje wizyty, każdy obrachowywał, kiedy drugiego nie zastanie; i ztąd poszło, że Stella przypisała im obu systematyczną peryodyczność odwiedzin, o której obaj nie myśleli. Niekiedy takie unikanie udawało im się, a niekiedy wyrachowania ich myliły; i wtedy zwykle, wracając jedną drogą, nie mówili nic do siebie, ale każdy obmyślał, jakimby tu sposobem doprowadzić do wyjaśnień, których rezultatem mogłoby być albo ustąpienie rywala, albo wyraźna już nieprzyjaźń i walka dwóch konkurentów.

Tego dnia, w którym ich poznajemy, i w którym, jak się dowiedzieliśmy, panna Jawska zwierzyła się przed

swoją przyjaciółką, że radaby ich.. zsumować, niewiadomo z jakiego powodu zwykłe myśli, jakie Julianowi i Ignacemu towarzyszyły przy wspólnym powrocie, zaczęły przybierać bardziej stanowcze kształty.

Tak wiecznie być nie może, — mówił do siebie w duchu Julian — trzeba raz skończyć.

On się widzę nigdy nie zdecyduje. — myślał Ignacy,— rozmówić się ze mną otwarcie i roztrzygnąć stanowczo kwestyą: który z nas któremu ma ustąpić.

Myśli ich zbiegły się na jedno, nic więc dziwnego, że obaj razem przemówili.

— Słuchaj Julianie... ja chciałem...

— Mój Ignacy... ja muszę...

Obaj spojrzeli na siebie pytająco. Każdy był rad drugiemu ustąpić pierwszeństwa w poruszeniu kwestyi drażliwej.

Nastąpiła chwila milczenia. Było to już za olszynką, przy samym wjeździe na drogę bitą; mogło się więc znowu skończyć na niczem, ale Julian uczuł w sobie jakąś szczególną determinacyą i rzekł:

— Muszę się z tobą rozmówić.

— To dobrze, — odpowiedział Ignacy, — ja właśnie miałem podobny zamiar...

— Widzę ztąd, że rozmowa będzie dość długa... może siądziemy razem i pojedziesz do mnie...

— Wolałbym cię zabrać do siebie...

— Hm! — mruknął Julian, nie chcąc ani odmawiać, ani przyjąć, — nie bardzo mi na rękę... a i tobie do mnie — widzę — podobnież... najlepiej pojedźmy do miasteczka, masz tam zapewne interesa...

— Chętnie, skoro ty masz interes.

Łatwo zgadnąć, że obydwaj nie mieli nic ważnego do załatwienia w miasteczku; szło im o to, żeby uniknąć drażliwej materyi pomiędzy gościem i gospodarzem; woleli zatem przenieść na grunt neutralny konferencyą, której następstwem, jak każdy przewidywał, mogła być bardzo łatwo deklaracya wojny.

Ignacy przesiadł się do Juliana, konie jego szybko pognały ku miasteczku, a oni w głębi powozu następującą prowadzili z sobą rozmowę:

— To, co ci chciałem powiedzieć, jest dość drażliwe, — zaczął Julian.

— Nie drażliwsze pewno od tego, co ja miałem na myśli, — odparł Ignacy.

— To znaczy, że prawdopodobnie mieliśmy jednę myśl...

— I mnie się tak zdaje.

— A więc możemy mówić bez długich wstępów...

— Tak będzie podobno najlepiej.

— Jesteśmy koledzy, byliśmy długie lata przyjaciółmi... jeżeli nas co różni, powinniśmy to zdać na sąd polubowny nas dwóch...

— Słusznie — przyznał znowu lakoniczniejszy jeszcze niż zazwyczaj Strzyż.

— Jeżeli jeden drugiemu zawadza, powinniśmy rozważyć, który ma większe prawa, i ten, który ma mniejsze, ustąpić drugiemu powinien — rozumował dalej Julian.

— Nie przeczę, — odpowiedział Ignacy.

— Świat szeroki, każdy z nas może sobie gdzieindziej znaleźć żonę... dla czegoż obaj mamy dobijać się o jednę wiedząc, że jej obaj nie dostaniemy?...

— Rozsądnie mówisz, Julianie, ale to wstęp dopiero... Powiedz mi, co ty nazywasz większemi prawami?...

— Posłuchaj mnie, a będziesz wiedział zaraz... Nie zaprzeczysz mi, żeś chłodniejszy odemnie, i że we wszystkiem tem, co czynisz, we wszystkiem tem, co cię spotyka, więcej się rachujesz z zimnym rozumem niż ja. Rozum ci pierwszy powiedział, że panna Jawska byłaby dla ciebie właściwą partyą, a serce dopiero poszło za jego głosem. Nieprawdaż?...

— Przypuść na chwilę, że tak.

— Ze mną było całkiem inaczej; ja ją pokochałem nie rozumując, należałem do niej nie zastanowiwszy się jeszcze nad tem, czy połączenie się z nią dałoby mi owo praktyczne szczęście, które wy ludzie rozsądku na funty i łuty odważać potraficie; czyby uczyniło zadość wymaganiom tej potęgi, którą nazywamy światem, a która surowo karze wszystkich tych, co się wyłamują z pod praw, jakie im ona samowolnie narzuca. Stella mogła być pastuszką gęsi albo królewną, pokochałbym ją tak, jak pokochałem. Dopiero znacznie później, gdym i ciebie zobaczył przykutego do jej tryumfalnego wozu, zapytałem się rozsądku, co sądzi o mojej miłości, i rozsądek powiedział mi... to co tobie... ale dodał, że gdyby temu pragnieniu mojego serca miało się nie stać zadość, to onby stracił nademną wszelką władzę, i nie pozostałoby mi nic innego... chyba szaleństwo. Tymczasem ty, Ignacy, gdyby cię nadzieje zawiodły, tybyś cierpiał na tem niezawodnie, lecz twoja filozofia i zimna krew uleczyłaby cię niedługo...

— Więc ty to nazywasz większem prawem?

— Tak jest, Ignacy.

Ignacy szarpnął się za wąs.

— Wiesz co, — rzekł, — nie chodziliśmy obaj na fakultet prawny, więc nie mam zasady dziwić się twoim wyobrażeniom o prawie, ani też nie mogę twierdzić, że moje są nieomylne, ale zdaje mi się, że twoje większe prawo jest dziwnem i niesprawiedliwem.

— Ciekawym dla czego?

— Objaśnię cię zaraz. Wszak prawo mocniejszego uważasz za niesłuszne?

— Bez wątpienia.

— A cóżbyś też powiedział o prawie słabszego, cobyś powiedział, gdyby kto stanął przed tobą i odezwał się do ciebie: Oddaj mi twoje szczęście, dla tego, żeś silniejszy odemnie, to ci nie trudno będzie inne sobie wywalczyć?...

— To prawo właśnie jest...

— Jest podstawą miłosierdzia, wiem o tem, ale gdzie mowa o miłosierdziu i litości, nie może być mowy o prawie; są to akta dobrej woli, nic więcej...

Julianowi krew na twarz nabiegła, chciał wybuchnąć, ale się wstrzymał. Słowa Ignacego trafiły do jego przekonania, zrozumiał, że niewłaściwie postąpił, domagając się tego, o co zaledwie mógł prosić.

— Przyjaźń wszakże, — jąkał, — mogłaby...

— Przyjaźń, — przerwał dość szorstko Ignacy, — przyjaźń prawda mogłaby wiele... Ale do przyjaźni z przyjaźnią przystępować potrzeba. Przyjaźń nie oblicza najprzód, jak ty to uczyniłeś, że przysługa, której wymaga, nic przyjaciela kosztować nie będzie...

— Ignacy, uraziłeś się o formę, — przerwał Julian, — wyznaję, żem niewłaściwie zaczął... ależ to kwestya formy tylko... przepraszam cię...

— Nie wspominałbym o tem,—odrzekł Strzyż z powagą,— gdyby mi tylko o to chodziło, co słusznie kwestyą formy nazwałeś... ale jest głębsza przyczyna, dla której odmówić ci muszę. Posłuchaj mnie... będę szczérym.

To powiedziawszy Strzyż zamilkł na chwilę. Chwila ta potrzebną mu widać była do skupienia myśli, w których chciał się odsłonić przed przyjacielem niegdyś a dziś rywalem. Julian nie przerywał tego milczenia.

— Powiedziałeś, — zaczął Strzyż wreszcie — żem ja silniejszy, że cios serdeczny prędzej przeboleję; powiedziałeś to jako pewnik, przysiągłbyś, żeś się nie omylił. Kiedy spojrzysz w zwierciadło i zobaczysz w niem swoję postać, mówisz: „to wulkan,“ i zdaje ci się, że mówisz prawdę; a kiedy spojrzysz na mnie, mówisz sobie: „to kamień,“ i zdaje ci się, że mnie oceniłeś najtrafniej. Nie, Julianie, ty nie znasz ani siebie, ani mnie. Sądzisz z pozorów, z powierzchowności, z pierwszych wrażeń, i dla tego się mylisz. Gdyby ot tutaj, nagle, na tej drodze stanęła przed nami obydwoma pewność, że żaden z nas nie dostanie Stelli, słusznieś powiedział, że pod pociskiem tej wieści tybyś robił szaleństwa, a ja... możebym zbladł tylko... kto ci jednak powiedział, że twój wybuch i mój chłód nie byłyby wynikiem jednej i tej samej boleści, którą twoja natura kazałaby ci wylać na zewnątrz, a moja strawić w sobie samym?... I tobie po wybuchu zrobiłoby się lżej, a jabym się bez końca trawił tym wewnętrznym płomieniem, tą zabójczą gorączką; — z ciebie po kilku paroksyzmach ustąpiłby nadmiar boleści, jak zbytek pary z maszyny zaopatrzonej w klapę bezpieczeństwa, we mnie napozór zimnym i spokojnym nurtowałby on ciągle, ażby nareszcie rozsadził maszynę...

Po tych słowach powiedzianych z uczuciem, i wyraźnie z głębi duszy płynących, Ignacy znowu zamilkł, a Julian czy szukał odpowiedzi, czy robił w duchu rachunek sumienia i sprawdzał w myśli uwagi kolegi, o ile się do niego odnosiły, dość, że także zachowywał milczenie.

— Nie dla tego jednakże, — zaczął po niejakim czasie Ignacy, — że tak jest, albo że tak mi się wydaje, pozostałem na twojej drodze i ubiegam się o to samo, co ty nazywasz swojem szczęściem. Byłby to wzgląd egoistyczny, który przyjaźń usunąćby mogła, może powinna. Kocham Stellę, kocham ją bardziej niż myślisz, staram się wszelkiemi godziwemi sposobami pozyskać jej wzajemność; wolałbym, wyznaję to, nie widzieć obok siebie współzawodników, nawet ciebie... a jednak sumienie mi mówi, że nie robię nic więcej, jak tylko to, co się robić godzi nawet wtedy, gdy się ma za rywala dawnego jak ty, prawdziwego przyjaciela i kolegę. Wybór pomiędzy nami nie od nas wszakże, ale od niej zależéć będzie. Spytaj się rozumu, a on ci powie, że jeśli mnie wybierze, to tybyś niezawodnie nie znalazł z nią szczęścia, o którem marzysz; a jeśli ciebie nademnie przeniesie, jabym z nią nie znalazł tego czego szukałem. Wybór ten odsłoni nam jej charakter, sympatye, upodobania, duszę, słowem to wszystko, czego konkurent w pannie na wydaniu domyśla się, albo widzi tylko pozory, często fałszywe... wybór ten jednego z nas uczyni szczęśliwym, a drugiemu da tę pociechę, jedyną w takim wypadku, że przyjaciela ustrzegł od najokropniejszego zawodu, jaki człowieka w życiu spotkać może... Ustępując ci z placu, jak widzisz, mógłbym zabić szczęście twoje i moje, to samo tybyś może uczynił, gdybyś mi ustąpił... zostańmy zatem oba, ale nie przedłużajmy walki, w którejby przyjaźń nasza poledz mogła...

— Wstyd mnie Ignacy, — odrzekł Julian ściskając rękę przyjaciela, — tyś szlachetniéj myślał odemnie.

Strzyż się poruszył gwałtownie.

— Nie!... nie mów tego! — zawołał, — ja tak myślę tylko wtedy, kiedy całem wysileniem woli zdołam się oddać, jak w tej chwili, pod wyłączne panowanie rozumu. W innych chwilach, gdy jestem przy niej, albo gdy o niej marzę, krew mi gwałtowniej płynie w żyłach i serce szybciej uderza. Wtedy gdyby mi kto powtórzył, co tu powiedziałem, wziąłbym to za nadęty, czczy i niedorzeczny paradoks; wtedy myśl o tobie mnie niecierpliwi, widok twój gniewa; wtedy radbym, ażeby oprócz mnie nie było żadnego więcej mężczyzny na świecie, i żeby Stella była zmuszoną mnie wybrać; wtedy czuję, że porwałbym ją przemocą i uwiódł na koniec świata, wtedy szaleję... choć zewnętrzna maska, ta chłodna, angielska, flegmatyczna fizyognomia, którąbym w takiej chwili pragnął módz zedrzeć z siebie i rzucić do pieca, kłamie, żem taki sam jak zawsze, żem taki sam jak wszyscy, zdolny tylko do małych uczuć, do średnich namiętności, do umiarkowanych wzruszeń, na łokcie odmierzonych uniesień...

Oko Ignacego pałało niezwykłym blaskiem, gdy mówił te słowa, głos jego drżał, a uderzenia serca nieledwie słychać było pod klapą surduta. Julian patrzył na niego zdumiony. Ta metamorfoza kamienia w wulkan trwała

tylko chwilę, ale dostateczną była na poparcie wszystkiego, co Ignacy powiedział. Po chwili spokój powrócił znowu na twarz Ignacego, i łagodnym jak zwykle głosem rzekł do Juliana:

— Widzisz sam, że nie ma co zwlekać dłużej, nie ma co się bawić w ustępstwa wzajemne... oświadczmy się.

— Obydwaj?..

— Tak... jutro...

Julianowi silniej serce zabiło. Przeląkł się bliskości chwili, która miała zadecydować o jego losie.

— Jutro?.. już jutro? — szepnął.

— Więc pojutrze — ustąpił Ignacy.

— Nie... ja nie wiem czemu... ja się boję... ja chciałbym jeszcze...

— Więc za tydzień, za miesiąc... ale zdecydujmy się raz i wiedzmy, co myśléć o sobie, i wybaczajmy sobie, jeżeli w uniesieniach zazdrości jeden drugiemu na chwilę przestanie być przyjacielem...

— A więc... za tydzień — zgodził się Julian — którego serce zatrwożone przed chwilą bliskością ostatecznej decyzyi, teraz się znowu miesięcznej zwłoki przeląkło.

Tak się skończyła rozmowa dwóch młodych ludzi, w których czytelnik poznał zapewne istoty z głową i sercem, owe istoty, których się tak gwałtownie od powieściopisarzy domagają krytycy, może dlatego, że je tak rzadko na drodze życia spotkać można, a raczej, że tyle się w życiu napotyka serc i głów pustych, jak na przednowku stodoły.

(Ciąg dal. nast.)

# Kronika literacka i artystyczna.

Lwów, w grudniu 1871.

(Ruch muzyczny. — Teatr. — Artyści nasi i szkoła monachijska. — Życie Towarzystwa. — Pamiątki Mickiewiczowskie. — Nowe książki.)

W zestawieniu objawów w dziedzinie sztuki i literatury dokonanych na widokręgu tutejszym ostatniemi czasy, mianowicie zaś w ciągu minionego miesiąca, niezwyczajne ożywienie w świecie naszym muzycznym, z kąd inąd dość już żywotnym, zasługuje być położonem na pierwszem miejscu. Po kilkomiesięcznym zastoju a raczej milczeniu wdzięcznych narzędzi harmonii, muzyczna wrażliwość nasza znalazła się odrazu jak gdyby pod nieprzebraną kaskadą najczarowniejszych akordów, poszły produkcye za produkcyami, prześcigały się o wdzięczniejszą najznakomitsze talenta; w krótkim stosunkowo czasie ileż usłyszeliśmy arcydzieł odtworzonych najwprawniejszą dłonią a częstokroć mistrzowskiem natchnieniem! Nie naszem zadaniem wymieniać poszczególnie wszystkie owe produkcye i wspaniałe ich programy; nie naszą też rzeczą wdawać się w ściśle krytyczny rozbiór i ocenę odtworzenia Beethovenów, Chopinów, Lisztów i t. p, przez takich Wieniawskich, Mikulich, Hauserów i Tarnowskich; ogólnem wrażeniem tylko, odniesionem z produkcyi tych podzielić się z łaskawym czytelnikiem i uwielbieniu jego przekazać tych, którzy z poziomu życia codziennego podnosili nas w lepszych, czystszych kształtów światy — uznajemy za powinność swoję. A i w tej mierze podobnoś nie wiele nam przydać można do ugruntowanego już uznania powszechnego; rozgłos światowy i sława, zażywane przez artystów, którzy temi czasy tak hojnie darzyli nas skarbami talentów swoich i pracy, nie od dziś przecie zalecają ich szacunkowi naszemu; więc poprzestajemy na zeznaniu tylko, iż najsprawiedliwszemi znaleźliśmy rozgłos ów i sławę tak znakomitego ziomka naszego Józefa Wieniawskiego, pianisty, jak i p. Miszki Hausera, skrzypka, którego gry zresztą dobrze pamiętni jesteśmy z dawniejszych sezonów lwowskich. Młody też, znany zarówno na polu literatury pięknej jako utalentowany poeta, wirtuoz na fortepianie p. Władysław Tarnowski, pełnemi niekiedy natchnionego wyrazu reprodukcyami, mianowicie prześlicznych utworów naszego Chopina, rzetelną zjednał sobie u lwowskich miłośników muzyki sympatyą, która bodajby mu była bodźcem dalszej ku doskonałym kształtom piękna działalności, jak jest już niepoślednim zadatkiem przyszłej jego sławy artystycznej.

Dyrektor artystyczny naszego Towarzystwa muzycznego, p. Mikuli, w tymże czasie urządził nam dwa koncerta o doborowych programach, w układaniu których wogóle daje nam zawsze dowody wysokiego znawstwa swej sztuki i poczucia piękna tonów. Wykonanie też programów tych, jakkolwiek rdzenną ich część składały najpoważniejsze kompozycye Beethovena, Mozarta, Mendelsohna, Brahmsa i t. p., pod umiejętnem i skrupulatnem do subtelności kierownictwem p. Mikulego musiało zadowolnić słuchaczy najzupełniej. Szczególnie jednak obowiązani czujemy się panu dyrektorowi za wprowadzenie do programu wieczorku drugiego koncertu Mozarta (d-mol) z kadencyami Beethovena, w którym przewodniczącą harmonii orkiestralnej partyą fortepianu z wielkiem powodzeniem wykonał młody wirtuoz, uczeń naszego Towarzystwa, p. Wsz., i niemało przyczynił się grą swoją do najlepszego wrażenia, jakie wspaniały utwór ten w całości swego wykonania wywarł na słuchaczach.

Odbyło się też w listopadzie doroczne zebranie walne członków lwowskiego Towarzystwa muzycznego, celem dopełnienia wymogów statutowych, mianowicie zaś rozpatrzenia wyników działalności Towarzystwa w roku ubiegłym i ustanowienia zarządu na przyszły. Zanosiło się podobnoś na wnioski ze strony członków dążące do pewnych przeobrażeń, jakich w niejednym względzie wymaga też po jedynej szkole tej muzycznej w kraju potrzeba upowszechnienia jak najszerszego muzyki, której wpływ niepospolitej zaprawdę jest donioslości w obec losów uobyczajenia społeczeńskiego; wszakże ostatecznie nie przyszło do żadnych wniosków w tej mierze, i przez rok znowu

poprzestać musimy na dawnym stanie Towarzystwa, nie bez szkody publicznej uroniwszy sposobność przysporzenia zeń większego pożytku krajowi. Ze sprawozdania dyrekcyi o działalności Towarzystwa w r. 1870/71 przedłożonego zebraniu temu dowiedzieliśmy się, że w roku tym liczyło Towarzystwo członków 149, uczniów obojej płci 199. Dochód wynosił wliczając już subwencyę krajową i miejską zł. 6005, koszt ogólny zł. 6593. Niedobór pokryty z zaoszczędzeń zazeszłorocznych.

Prezesem Towarzystwa na rok bieżący wybrany p. Wincenty Danek, zastępcą p. Rudolf Schwarz.

Jak w roku minionym, zapowiedziała już dyrekcya na sezon zimowy w czasie od grudnia do kwietnia 18 wieczorków muzycznych, wokalno instrumentalnych, które streszczą w sobie wszystkich niemal znakomitszych autorów muzycznych utwory i wyprowadzą na podyum koncertowe wszystkie siły artystyczne i dyletanckie naszego miasta. Odbywać się będą każdego czwartku wieczorem w wielkiej sali zakładu Ossolińskich, życzliwie na ten cel Towarzystwu ustąpionej przez księcia kuratora Zakładu.

Jak w świecie muzycznym ruch żywotny w ubiegłym miesiącu odbył się w prawdziwem, stocatto, dzieje Melpomeny lwowskiej w tymże czasie płynęły zwyczajnem swem legato, utartą ścieżką repertuara, jakkolwiek co trzecie niemal przedstawienie było benefisowem i okres ten należy zazwyczaj do najbardziej ożywionych. Pan Leszczyński tylko wybrał na swój benefis sztukę nową, dramat z francuzkiego p. t. „Siła przed prawem“ pp. Gentilhomme & comp. nie sprawił wszakże szczególnego wrażenia ten więcej tendencyi i chwilowemu godłu niż estetyce byt swój zawdzięczający utwór. Inni artyści, znanemi starej daty sztukami odprawili swe benefisa, co nie świadczyłoby jeszcze wcale przeciw nim, gdyby tylko starzyzny owe pochodziły były zawsze z muzeum, nie z tandety — a bywały niestety grywane także ostatniego rodzaju starzyzny.

Publiczność tej jesieni wcale ochoczo garnie się ku Melpomenie, sala nigdy prawie nie ukaże przerażających pustek, trzebaż tylko, ażeby tam znalazła zawsze to czego szuka: ożywcze wrażenia i rzetelną rozrywkę. Już zapory fatalne, jakie dotychczas pod wielu względami oddziaływały tamująco na rozwój sceny ojczystej we Lwowie, przełamane; zniesiony haniebny przywilej teatru niemieckiego w mieście polskiem, w drugiej stolicy Polski! Już też i u publiczności, przebywającej ciężką jakąś apatyę, bolesną ociężałość jakąś w rzeczy ojczystej, dostrzegać się daje pomyślniejsze usposobienie w tej mierze; już od trosk codziennych, od bezcelowych wysileń fantazyi i uczucia lub płonnych kombinacyj politycznych umysł powszechny zwracać się zdaje ku szlachetniejszym i realniejszym zarazem dźwigniom skołatanego ducha narodowego. Powinni więc jak najlepiej chwilę tę wyzyskać ci, od których kierownictwo sceną ojczystą zależy.

Któż przeniknął tajniki naszego malarstwa, naszej rzeźby i architektury wreszcie, o tyle, by w miesięcznem sprawozdaniu o najnowszych pojawach sztuki w kraju udzielić mógł wiadomości bieżących o tem, co się właśnie dzieje i dokonywa w osamotnionych pracowniach naszych panów malarzy i rzeźbiarzy! „Es bildet ein talent sich in der Stille“ powiada wielki myśliciel niemiecki, toż i płody tej „gleby piękna“ w ciszy i w promieniach skupionego ducha rtysty dojrzewają, nim po raz ostatni zajdzie słońce pracy nad jego dziełem i „sabbath“ nastanie. Wystawa, o której dziś już mówić możemy jako o przyjemności bardzo niedalekiej: będzie tym siódmym dniem twórczej działalności naszych panów malarzy i rzeźbiarzy, który nam ukaże w skończonych kształtach ich dzieła.

Jedną wszakże, a nader miłą nowiną, dotyczącą sfery gliny i dłuta, podzielić się możemy tutaj z szanownym czytelnikiem. Nieochybne doszły nas wiadomości i znamiona, że dość liczna młodzież polska oddająca się studyom sztuk pięknych w znakomitej szkole monachijskiej, z całą gorliwością i zapałem pracuje nad udoskonaleniem pięknych swoich talentów i wzorem jest pod tym względem dla kolegów innych narodowości. Najpochlebniej o uczniach Polakach wyrażają się profesorowie szkoły, otrzymywane przez nich stosunkowo bardzo często za konkursowe dzieła medale, nagrody i dyplomy akademickie, acz nie wymowniej od pochwał owych, lecz dobitniej jeszcze świadczą o talentach i pracy Polaków. Oby wytrwali na zapewnionej im już drodze ideału dla przysporzenia pożytku i sławy ojczystemu ich imieniowi!

Dwaj młodzi rzeźbiarze tejże szkoły, Lwowianie pp. Tadeusz Wiśniowiecki i Tadeusz Barącz, za ostatnim tu swoim pobytem w ferye letnie, kilka dobrze o ich przyszłości artystycznej rokujących prac swoich przywieźli do kraju, przekazując je przyszłej wystawie sztuk pięknych. Mianowicie „Gustaw szalony“ z Dziadów Mickiewicza, statua kompozycyi p. Wiśniowieckiego, i grupa symboliczna treści patryotycznej p. Barącza cennym być powinne nabytkiem dla naszej skromnej zazwyczaj wystawy.

Życie towarzyskie w stolicy naszej, jak gdyby uprzedzając zamierzony na rok przyszły poważny obchód smętnej pamiątki rozbioru Ojczyzny przed wiekiem, roztętniło się żywiej niż zwykle w porze przedadwentowej: kilka balów publicznych na cele dobroczynne i patryotyczne, częste zabawy domowe z tańcami, w listopadzie wynagrodziły miłośnikom ochoty to, z czego skromną chcą zrobić ofiarę na rzecz uroczystego nastroju w czasie, który sercu Polaka uprzytomni wszystkie ciosy, wszystką żałobę, w jaką przed wiekiem pogrążyła się ta Ojczyzna serdecznie kochana!

Rocznicę śmierci Mickiewicza, przypadającą właśnie w wilię rocznicy niemniej pamiętnego dnia 29. listopada, młodzież tutejsza akademicka uczciła poważnym obchodem, urządziwszy w sali ratuszowej wieczorek o stosownym do wzniosłej pamiątki odczycie, deklamacyi i muzyce. Wypełnienie obowiązku nie powinno być przedmiotem publicznej pochwały; wszakże godzi się wyrazić uznanie tejże młodzieży za poważny i patryotyczny sposób myślenia ujawniony w obchodzie rzeczonym.

Gdyśmy już myślą potrącili o Cień ów nieśmiertelny, o pamięć wielkiego naszego Adama, nadmienim zarazem, że książe kurator zakładu Ossolińskich nabył dla tegoż zakładu od rodziny poety wspaniały biust jego, dłuta sławnego Dawida (d' Angers), zaś p. Stanisław Tarnowski oryginalny rękopis „Pana Tadeusza“ — pierwszy niejako wyraz zewnętrzny, drugi odbicie samoż tej niepospolitej duszy! Jakież rzewne pamiątki!

Na wystawie księgarń naszych znaleźliśmy w listopadzie kilka książeczek, nęcących oko świeżutkim odciskiem na czyściuchnej powierzchni okładkowej. Wbrew powszechnemu niestety obyczajowi... zaglądnijmy do wnętrza tych sympatycznych na oko zjawisk. Oto mamy w ręku „Genezis z Ducha. Modlitwa z rękopisu J. Słowackiego, dotąd niedrukowana. Nakładem F. H. Richtera we Lwowie i w Poznaniu.“ Jest to odbitka z jednego z ostatnich zeszytów „Strzechy,“ utwor więc przytoczony znany jest czytelnikom naszym. Słowacki!... A jednak w tej formie wspaniałej, wśród tego bogactwa najświetniejszych pojedyńczo wziąwszy myśli, jak widmo blade w wieńcu rozkosznego bytu ukryła się mętna, chorobliwa wiara poety, rozprawiającego się z Stwórcą o zagadkę swego duchownego istnienia, które niby analogicznie z odwiecznemi przeobrażeniami kształtów materyalnych, lecz po za naturą i niezależnie od prawideł mechanicznych, w stopniowaniu doskonałości przebywa ziemskie swoje koleje. Dziwnie się złożyło, że tuż obok „Genezis z Ducha“ znalazło miejsce na stole księgarskim również świeżo wydane dzieło Haeckela „Dzieje przyrody“ w tłumaczeniu pp. Czarnieckiego i Masłowskiego, rozwijające i wszechstronniej poniekąd uzasadniające teoryą Darwina o pochodzeniu form i ustrojów zewnętrznego świata. Powiadamy: dziwnie się złożyło że dwie przytoczone książki spotkały się tutaj, jak bowiem obie mają za cel dociekanie najostateczniejszych zagadnień bytu, tak różnią się diametralnie w obranych ku temu celowi drogach i środkach, gdyż o ile „Genezis“ każe duchowi ludzkiemu sprowadzonemu do pierwiastku wytwarzać odpowiedni jego zamiarom i wygodzie świat zewnętrzny, podporządkowując mu zupełnie mechaniczne działacze materyi, o tyle „Dzieje przyrody“ odmawiają w tej mierze inicyatywy życiowej duchowi, całą pracę przyrody przypisując czynnikom czysto mechanicznym. Dla umysłów wytrawnych „Dzieje przyrody“ Haeckela mogą być książką przyjemną i pożyteczną, roztaczając bowiem przed niemi bogaty niezmiernie zasób doświadczeń w wszystkich kierunkach przyrodniczej wiedzy, choćby nie zjednały czytelnika dla poglądów swoich monistycznych, podadzą mu sposobność i popęd do zastanawiania się nad doniosłemi zaprawdę zagadnieniami życia, a jako materyał naukowy posłużyć mu mogą do porównawczego zestawienia wyników cudzego badania z własną wiedzą i przekonaniem. Tłumaczenie, jakkolwiek nie najpoprawniejszą odznaczające się pisownią, dokonane wszakże językiem wcale gładkim, zdradza szczerą chęć tłumaczy usłużenia krajowi tą swoją pracą.

Literatura piękna w „najnowszych nowościach“ bibliograficznych lwowskich reprezentowaną jest wyłącznie przez zbiór poezyj p. Aurelego Urbańskiego, który ukazał się właśnie w gładkiej książeczce, noszącej napis „Szare ptaszę.“ Przeważnie lirycznej treści są piosnki tego „Szarego ptaszęcia,“ a chociaż powiada ono samo o sobie: „Ej, nie szarej tam nucić ptaszynie, gdzie w harmonii zlewają się tony dźwięki mistrzów...“ i chociaż w powiedzeniu tem „Szare ptaszę“ świadomem jest zapewne swojej ironii (sprawiedliwej zresztą), nam z niejednej jego serdecznej melodyi, w nadobną ujętej formę i dźwięczne słowo, brzmią czyste tony piersi słowiczej, pokrytej przecie także szarem pierzem... Jakieś zatęsknienie żałobne, jęk głuchy po jakiejś wielkiej stracie nurtuje serce poety, i z tego to uczucia wytryskają cyprysy i kamelie, które nad inne kwiatki utworów jego wdzięczą się współczuciu czytelnika. Wierszyki ulotne z tendencyą po największej części satyryczną, wcale udatne; do najszczęśliwszych w tym rodzaju zaliczamy: „Mały światek,“ „Toast“ i „Patryotę.“ Zgodzi się też zapewne z nami autor, gdy zaprzeczymy takim nic a nic nie mówiącym wierszykom jak „Gdy spocznę w zimnym grobie“ lub „Anioł pański“ prawa stawania w jednym szeregu z przytoczonemi wyżej utworami.

Pan Władysław Łoziński ogłosił drukiem zeszłoroczne lwowskie „Odczyty“ swoje dla kobiet, których przedmiotem było jak powiada autor: przedstawienie rozmaitych objawów estetycznych w życiu samem, wskazanie rozmaitych źródeł wrażeń pięknych i uszlachetniających; pragnął on tedy dać pokrótce krytykę form społecznych i towarzyskich pod względem estetycznym, i przykładami wskazać sposoby, któremi by pielęgnować można w życiu powszedniem zmysł piękna i zaspokoić wyższe wymagania umysłu. Książka powstała z tych „Odczytów“ a nosząca tytuł: „Z estetyki i z życia“ usprawiedliwia zupełnie tendencyę autora, a w skąpej u nas niestety literaturze, któraby miała za cel wyłączny uszlachetnienie duszy kobiecej, wybitne zajmie

Wydane właśnie dwa tomy „Biblioteki narodowej“ F. H. Richtera, mianowicie ósmy i dziewiąty, zawierają dwutomową powieść znakomitego pióra Zygmunta Kaczkowskiego p. tytuł. „Żydowscy,“ w roku 1860 drukowaną w „Kółku Rodzinnem,“ w obecnem zaś wydaniu przejrzaną ponownie przez autora. Nieliczne egzemplarze owego czasopisma z r. 1860 oddawna wyczerpane są już zupełnie, nowością więc dla większej części czytelników naszych będzie niezawodnie przytoczona powieść, jakkolwiek w drugiem już pojawiająca się wydaniu.

Kalendarze na rok 1872 pojawiły się tym razem w dość znacznej stosunkowo liczbie, mimo jednak danego im przez to pola do emulacyi wzajemnej, niedomagają po największej części skąpą lub błahą treścią swoją. „Haliczanin“ zespolony z skrzydełkami Chochlika unosi się tym sposobem przynajmniej nad poziom tegorocznej literatury naszej kalendarzowej.

B. K.

Poznań w grudniu 1871.

(Ochoczy adwent. — Gwiazdka. — Horoskopy publicystyczne — Nowe książki. — Ruch literacki i artystyczny.)

Jak gość przychodzący z pierwszą wizytą, miałby i wasz korespondent prawo rozpoczęcia szeregu listów swoich od pogody, tem bardziej gdy wiatr niosący tumany śniegu akompaniuje w tej chwili myślom jego, a przenikliwa muzyka dzwonków u sanek przerywa jedynie ciszę ulic.

Śmierć zagrażająca karnawałowi w 1872 roku napełniła grudzień obecny wrzawą balów publicznych i prywatnych, a zbliżające się święta nowy żywioł ruchu poważnemu Poznaniowi przynoszą. Zbliżająca się gwiazdeczka, ta pociecha dzieci, pokryła wystawy księgarń tysiącami publikacyj, przymilających się oczom okładkami lśniącemi złotem i purpurą. Nadchodzący Nowy rok pędzi kupców wszelakich do szeregu poleceń, obietnic i zapowiedzi; jodełki obciążone złotemi gruszkami chwieją się na ostatnich i pierwszych stronnicach dzienników, a projekta pism nowych wychylają z pod śniegu lękliwe główki.

Kiedy raz już zawadziłem o pisma i publikacye nowe, chcę porachować się tutaj z niemi.

Do „Sobótki,“ ciągnącej dalej swoje istnienie pod godłem: „Jakoś to będzie,“ do „Tygodnika Wielkopolskiego,“ boksującego się zajadle z Tygodnikiem katolickim, i ostrożnego „Orędownika,“ przybyć ma z Nowym rokiem olbrzymi zapaśnik ultramontański, któremu za przewodnika i mistrza naznaczają p. Franciszka Lutrzykowskiego. Postać redaktora i siły współpracujące do tej pory mgłą tajemniczą są przysłonięte. Zapowiadano także pocichu pismo polityczno-literackie „Postęp,“ które pod redakcyą znanych u nas ekonomistów w drukarni J. I. Kraszewskiego (Dr. Władysław Łebiński) wychodzić miało; dziś jednakże, gdy „Dziennik“ przechodzi do tej drukarni, pojawienie się tego pisma mało prawdopodobieństwa przedstawia.

Za to z istniejących już czasopism „Tygodnik Wielkopolski“ przechodzi stanowczo pod redakcyą Dr. Władysława Olendzkiego, z obietnicą nowych działów i dodaniem premii. Zapowiada on także nową powieść Bałuckiego p. t. „Siostrzenica ks. proboszcza,“ której treść wydatną tendencyą ma się odznaczać.

Publikacye książkowe poznańskie w nader szczupłej prezentują się liczbie.

O „Psałterzu Floryańskim, łacińsko-polsko-niemieckim,“ studyum filologicznem professora W. Nehringa, należy mi pomówić na czele. Historya tego psałterza, porównanie jego tekstu z Wirtembergskim i Klementyńskim, troskliwie wyszukane Corrigenda, dziełko to wielce cennem dla badaczy języka naszego i pomników jego czynią.

„Polskie boje“ K. S. Bodzantowicza, których obszerniejszy rozbiór do przyszłego listu pozostawiam, zamykają listę.

Oba powyższe dzieła wyszły nakładem I. K. Żupańskiego, jedno u Grossego i Bartha w Wrocławiu, drugie w drukarni Kraszewskiego w Poznaniu.

Ach, doprawdy byłbym zapomniał. Przedemna leży książeczka o 42 stronnicach w 16ce, zatytułowana: „Zasady Gierylasa czyli łatwy i praktyczny sposób nauczenia się gry tej w krótkim czasie, napisał A. L. nakładem autora, w drukarni Macuskiego i spółki.“ W książce tej autor z wielką erudycyą i powagą o kombinacyach królów, asów i pamfilów rozprawia, gruntując dzieło swoje we wstępie na głębokiej uwadze o „pracy i spoczynku,“ z której genialnym sposobem wywodzi konieczność grania w Gierylasa. Recepta ta wraz z sensem moralnym kosztuje zaledwie półtora złotego. Dalibóg, to za bezcen.

Tak ułatwiwszy się z bibliografią chwili, idę dalej za ruchem literackim i artystycznym w naszem mieście.

Odczyty w Bazarze i Towarzystwie przemysłowem domagają się wzmianki o sobie. Zapisuję tutaj ze względu na ich szczególną wartośc odczyty pp. Warnki o Wallensteinie, Dr. Łebińskiego o idealistach i p. Stanisława Koźmiana sprawozdanie z najświeższej literatury historycznej angielskiej na posiedzeniu sekcyi historycznej Towarzystwa przyjaciół nauk miane.

Odczyty te przerwane na chwilę, po nowym roku skończyć się mają.

Resztę miejsca w moim liście poświęcić się już godzi teatrowi, choćby ze względu, że instytucya ta obecnie przedmiot szczególnego zajęcia i troskliwości dla ogółu naszego stanowi. Pochlebnym bardzo dla Galicyi fenomenem że cały prawie personal naszej sceny, z jej synów się składa. Wyliczając tu państwo Wolańskich, p. Cezara, Dobrzańskiego, przypominamy wam dobrych znajomych i zapewne żal po nich budzimy.

Uczucie to u Was szczególniej strata pp. Wolańskich w zupełności usprawiedliwić potrafi. My zyskaliśmy na tych dwojgu artystach ozdobę naszej sceny, a dyrekcya silną podporę szczególniej do nowego repertuaru klassycznego, którego era z nowym rokiem się rozpocznie. Dotychczasowy wybór sztuk zdradzał pewne wahanie się i niedoświadczenie, choć z przeczuciem dobrego kierunku połączone.

Dałoby się to wytłumaczyć wyjątkowem położeniem tutejszej dyrekcyi, która widowiska zastosowywać musi do dwóch teatrów: letniego i miejskiego, przedstawiających dwie różne publiczności, i tą okolicznością, że pod względem rekwizytów, garderoby i biblioteki młoda dyrekcya przebywać musiała ciężki przednówek.

Jednakże i tak, jak już jest dzisiaj, stan teatru czyni zaszczyt energii p. Dobrzańskiego, a sympatya i szacunek dla artystów, oraz liczne nawiedzanie teatru dają świadectwo zasłużonego uznania obecnemu Towarzystwu.

Zmuszony na dzisiaj poprzestać na tej ogólnej wzmiance odkładam ściślejszy rozbiór rodzaju talentu naszych artystów i utworów przedstawianych do następnego listu.

O.

Drezno 7. grudnia 1871.

(Życzenie nowego roku. — Stuletnia rocznica rozbioru Polski. Dzieje porozbiorowe. — Bitwa Grunwaldska jako temat konkursowy. — Historya ostatniego sejmu Grodzińskiego po rosyjsku. — Najdawniejsze zabytki języka polskiego: Biblia Zofii Jagiellonki i Psalterz Floryański. — Wydawnictwa księgarni Żupańskiego. — „Obrazki z podróży do Szwecyi“ Engeströma. — Wydawnictwa warszawskie. — Broszura B Wołowskisgo.)

Winszujmy sobie tedy nadchodzącego roku, a raczej tego, żeśmy szczęśliwie przeszły przebyli — i że dopływamy do brzegu, skołatani wprawdzie, zesłabli, ale jeszcze żywi... Nadchodzi r. 1872 a z nim obchody stuletniej pamiątki pierwszego rozbioru Polski... Przyznaję, że mi się to jakoś w głowie nie mieści, za co my uroczyście rocznicę tę obchodzić mamy? Wesołą i zwycięzką rozumiem — bolesną, upokarzającą inaczej jak milczeniem a żałobą nie pojmuję, by się godziło uświęcać... Obchodzimy wiele pamiątek smutnych... tę chyba dla tego byśmy podnieśli, aby okazać, że zabijani, zabici, żyjemy jeszcze. O gorzkie stu tych lat rozpamiętywanie! Tyle błędów, tyle odstępstw, takie w końcu rozbicie i takie rozczarowanie i taka niewiara!! Czem my dziś jesteśmy? Z rąk nieprzyjaciół wyszliśmy żywi i nietknięci choć tykani... od własnych nie ujdziemy pono. Obliczmy wszystkie Targowice przeżyte aż do dni dzisiejszych!! O! jak ciekawą byłaby historya z jednej strony wszystkich heroicznych porywów, z których każdy nas cząstkę życia kosztował, z drugiej wszelkich zdrad pozornego konserwatyzmu, który egoizm swój odziewał w szaty miłości ojczyzny! Smutne dzieje! Jak to szczęśliwie, że my ich końca nie dożyjemy, i nie zobaczymy tych tryumfów siły, którym kadzielnice naszych Stańczyków kurzyć będą apologiami, składając na ofiarę Baalowi — ów kretynizm nasz... o którym poświadcza p. Koźmian i spółka. Wszystko szlachetne

uczciwe, ciepłe, co nas przy życiu trzymało, poszło już na ofiarę tym saturnaliom mniemanego rozumu i praktycznej mądrości. — Walki nasze skończyły się dobijaniem bratobójczem coup de grâce. Zaprawdę ktoby bezstronnie dzieje tych lat stu napisał, dzieje przemian ducha, pojęć, zasad, programów, polityki i systemów, wielki by pomnik wystawił. Tymczasem—o czem innem...

Jakiś wydział Towarzystwa słowianofilów w Petersburgu na rok 1872 do konkursu naznaczył temat — Bitwę Grunwaldską i złamanie potęgi krzyżaków!!! W Petersburgu? tak jest — znowu mnie weźmiecie za moskalofila. Iłowajski w Moskwie napisał ze stanowiska rosyjskiego — historyą ostatniego sejmu Grodzieńskiego — którą będziemy mieli w tłumaczeniu — audiatur et altera pars. To są nowiny — z za Buga, jak dawniej mówiono w Kongresówce. — Najmilszą wszakże nowiną jest przychodząca nam od was ze Lwowa Biblia polska Zofii Jagiełłowej, wydana staraniem A Małeckiego, a kosztem ks. Henr. Jerzego Lubomirskiego, jeden z najdawniejszych a najobszerniejszy pomnik języka, wydany umiejętnie, pięknie a ceną dla wszystkich przystępny. Prof. Małecki we wstępie do Biblii wspomniał o niedosyć zbadanym psałterze Floryańskim, a tu — jak na zawołanie — nadchodzi też — Iter Florianense, Dr. Wł. Nehringa, który umyślnie jeździł dla studyów nad ciekawym tym zabytkiem i zdaje nam sprawę z uczonej podróży. — Jak wiadomo psałterz był dosyć niedokładnie opisany, i polski odpis wydano niepoprawnie. Dr. Nehring uzupełnia go, prostuje, daje rezultaty rozbioru, opis, słowniczek, wszystko, czego żądać było można, gdy na nowe wydanie zebrać się trudno i drugiego ks. Jerzego Lubomirskiego nie łatwo znaleść.

Dr. Nehring pisze (str. 10), że starał się o wypośrodkowanie posiedziciela (sic) pierwszego rękopismu (niestety! czyby nie można się ograniczyć: „dośledzeniem posiadacza"??) — co jednak w części mu się tylko powiodło. Iter Florianense, wchodzi w szczupły nasz zasób materyału do historyi pierwszej epoki kształcenia się języka polskiego, rozwijającego się z powijaczów słowiańskich, zrywającego się z rąk czeskiej niańki... do samoistniejszego życia i kształcenia na nieśmiertelnych wzorach starożytnego świata. Szczególniej słowniczek bardzo zajmujący, razem z Glossarium Boudouin de Courtenay i p. Małeckiego do pożądanego Glossarium polskiego — dostarcza piękny materyał... Iter Florianense wyszło u Żupańskiego w Poznaniu, którego zawsze czynna księgarnia dostarcza nam ciągle nowych ksiąg, znakomitej wartości. — Mówiliśmy o wydanych tu pamiętnikach Niemcewicza, które z takiem czytane są zajęciem; wyszedł tu także T. Morawskiego znakomicie opracowanej historyi polskiej F. tom III. Obiecują się Bodzantowicza „Polskie boje," gotują tom nowy Koronowicza „Słowa dziejów," pamiętniki hr. Engeströma, Kreczetnikowa, Engdhardt'a. Szczególniej Engeströma pamiętnik, posła szwedzkiego w Polsce za sejmu czteroletniego, który się wypadkom i ludziom zblizka mógł przypatrzeć, będzie bardzo interesujący. — Dał z niego wyrwanych anegdot kilka przed parą laty p. Lucyan Siemieński.

Wnukiem tego hr. Engeströma, który ożeniony z Polką (Chłapowską) ukochał kraj nasz i szlachetnem współczuciem dla jego sprawy wdzięczną sobie zaskarbił pamięć — jest autor obrazków z podróży do Szwecyi, które drukowane były w odcinku „Kraju," a teraz wyszły w ozdobnej odbitce (Kraków 16. str. 566.) Odczyty te o Szwecyi myśmy tu w Dreznie słyszeli żywo wypowiedziane przez autora na korzyść Towarzystwa dobroczynności, dziś je z przyjemnością, jako miłą dla nas pamiątkę witamy w książce, którą i szersze koło czytelników wdzięcznie przyjmie. Obrazki to dla nas nowe, z życiem i uczuciem wielkiem narysowane. Nie pierwszy to utwór hr. Engeströma, który drukował już wiele miłych i zawsze najszlachetniejszemi uczuciami natchnionych poezyi, i życiorys J. Tegnera, a w tece ma oryginalnych poezyi i tłumaczeń ze szwedzkiego liczbę znaczną. Usposobienie poetyczne autora odbija się i w tych odczytach oryginalnych, ciągle poezyą przeplatanych i majonych. Są to krajobrazy z natury, legendy, podania, sceny historyczne, epizody dziejowe, rysy charakterów i postaci wybitnych — słowem wszystko, co myślącego i umiejącego czuć wędrowca zająć może. Lepiej się z nich poznaje Szwecyą niż w wielu jej chłodnych opisach, suchemi przeplatanych faktami i datami. Nie ujmując zasługi dziełom o Szwecyi Tyszkiewicza i Przezdzieckiego, z wrażeń hr. Engeströma, wtajemniczonego w życie tego kraju, którego był dzieckiem po ojcu, jak po matce synem jest Polski, uczymy się lepiej pięknej Szwecyi, widzimy ją jaśniej, uprzytomnia się nam żywiej.

Oprócz wydań zbiorowych pism Korzeniowskiego, Fredry, Syrokomli, z Warszawy przychodzi nam Figuier przerobiony przez prof. A. Wagę, „Historya Roślin," dzieło pięknie wydane z mnogiemi illustracyami, i zapowiedzie mnogich pism nowych peryodycznych.

Za granicą wydrukował p. Bronisław Wołowski w siedmiu już wydaniach rozchwytaną obronę Jarosława Dombrowskiego, a raczej opowiadanie faktów, których był świadkiem, rzucających nowe światło na Wersalskie rządy. Są tu szczegóły ciekawe o człowieku, który zdaniem nieprzyjaciół swych nawet, wart był lepszego losu. Brat p. Wołowskiego, Władysław, spisał też dziennik czynności swych w armii Wogezów, w której służył. Jest to materyał do historyi polskiej emigracyi czasu wojny 1870 — 1871, gdyż tu, jak w innych oddziałach, służyło wielu. Znajdujemy ich wszędzie, jako żołnierzy, lekarzy i urzędników, spełniających swe obowiązki względem swej przybranej ojczyzny, która im za to wypłaciła nienawiścią i potwarzą. Kilku wmieszanych w nieszczęśliwą sprawę komuny, starczyło na zohydzenie wszystkich, na prześladowanie imienia nawet polskiego. Los nasz w r. 1870 — 1871 zaprawdę godzien całych tragicznych dziejów naszych... Ofiary obłąkania w komunie, ofiary obowiązku w armii, ofiary konieczności w wojsku niemieckiem, a w końcu od Francuzów prześladowanie i od Niemców pogarda nikczemna! Tragiczniejszych losów żaden naród nie doznał... Będzie to dla nas nauką; a! nie, stokroć zawiedzeni damy się jutro uwieść ideą, zapałem, marzeniem, a w końcu choćby najdzikszą doktryną; dziś w rewolucyi szukając zbawienia, jutro w krańcowym konserwatyzmie, gdy zbawienie nasze jest w cichem skupieniu się i pracy.

J. I. Kraszewski.

(Ruchomości Dumasa). O tym samam czasie, gdy Paweł Kock zakończył życie i liczne grono przyjaciół i wielbicieli oddawało mu ostatnią posługę, zebrało się w Paryżu niemniej liczne towarzystwo w pomieszkaniu ś. p. Alexandra Dumasa, zmarłego 5. grudnia z. r. w Dieppe. Odbywała się tam licytacya wcale skromnych ruchomości, które ten równie uwielbiany jak marnotrawny romansopisarz pozostawił. Dumas cierpiał istotnie ciągle na brak pieniędzy i nie myślał nigdy o przyszłości. Z 18 milionów franków, które zarobił w ciągu swego zawodu literackiego, nie pozostało rzeczywiście nic, prócz kilku dzieł artystycznych, które zresztą mają bardziej historyczną niż realną wartość, a oprócz tego są po największej części upominkami, które wesoły poeta otrzymał od znakomitych osobistości w dowód wdzięcznego uwielbienia. Jak się to zwykle zdarza przy podobnych sposobnościach, zjawiło się i tą razą wielu Anglików i Amerykanów w zamiarze zakupienia niektórych rzeczy. Ale mało co tylko dostało się w ręce tych oryginalnych amatorów, próbujących szęścia na wszystkich licytacyach, gdyż książę Metternich i syn Dumasa polecili swoim ajentom zakupywać wszystkie główne artykuły po jakiej bądź cenie. Szczególnie ostatniemu, który jest bardzo majętny i zdaje się lepiej znać wartość pieniędzy, niż jego ojciec, udało się nabyć wszystkie ważniejsze pamiątki po swoim ojcu. Dochód z licytacyi wynosił w okrągłej sumie 17,000 franków. Dawni sekretarze Dumasa, panowie Charles Chincholle i Charles Dubie czuwali nad przebiegiem licytacyi.

(Wygodna trumna). Pewien bogaty właściciel warsztatu okrętowego, p. Woërman w Norwegii, otrzymał od Jego Najczarniejszej Mości, króla Kambuli w Iberii, u zachodniego wybrzeża Afryki, zamówienie na trumnę szczególniejszego rodzaju. Trumna ta została już podług wskazówek królewskich, przywiezionych przez jakiegoś murzyna, sporządzona i ma być wkrótce odesłana. Jest ona trzy metry długa, a półtora metra szeroka i wysoka. Wyciosana z drzewa piżmowego, polerowana i obciągnięta niebieskim lakierem, od którego odbijają pięknie liczne gwoździe złote, ma ona formę podług wzoru chińskiego bardzo gustowną. Wewnątrz wybita jest czerwonym aksamitem, a w miejscu, gdzie ma leżeć głowa, znajdują się miękkie poduszki z tej samej materyi. Wieko ma sześć okien dla przypuszczania światła dziennego, a na ścianach i suficie tego mieszkania śmierci umieszczone są zwierciadła z górskiego kryształu. Cztery klamry i nogi, jako też ramy u okien i odrzwia są z szczerego srebra. Zaopatrzenie tej trumny w rozmaite przedmioty, przeznaczone oczywiście do uprzyjemnienia podróży, jest szczególniejszego rodzaju i okazuje, jak miłe nadzieje żywią co do przyszłego życia wyznawcy religii panującej w tem królestwie. Pan Woërman otrzymał wyraźne polecenie, ażeby zaopatrzył tę trumnę w sześć butelek najlepszego koniaku, dwie fajki i piękną szachownicę. Trumna ta będzie zaraz za nadejściem do Afryki ustawiona w honorowym zakątku rezydencyi króla Kambuli, i pozostanie tam jako rzecz nietykalna, dopokąd Jego afrykańska Mość nie raczy złożyć w niej swoich kości.

(Nowy rodzaj oszustwa). Najnowsza sztuczka złodziejska w Anglii jest następująca: W pewnym dzienniku pojawia się anons: „Poszukuje się na trzy miesiące pożyczki w sumie 30 funtów szterlingów, od których zapewnia się 10% i premię w kwocie 5 funtów szterlingów. Dla bezpieczeństwa złożona będzie u wierzyciela kosztowna własność, której wartość przewyższa trzykrotnie żądaną sumę. Adres: A. B. i t. d. Gdy chwyci kto za tę wędkę, naznaczają mu schadzkę. A. B. składa u niego srebrne naczynia w wartości 100 funt. szt. i wierzyciel zadowolony tym interesem powraca do domu. Ale w kilka dni potem robi mu wizytę jakiś jegomość i pyta go, czy ma koncesyą na przyjmowanie zastawów. A że naturalnie jej nie ma, oświadcza mu, że musi zapłacić 100 funt. szt. kary pieniężnej, ponieważ pożyczył pieniędzy na kosztowny zastaw. „Ale — mówi dalej nieznajomy — rzecz ma się właściwie tak: Naczynia srebrne są moją własnością, i były tylko dla przechowania złożone u tego jegomości, który je u pana zastawił. Nie myślę wcale tracić 30 funt. szterlingów; i dla tego albo mi pan oddaj moje srebro, albo udam się do sądu.“ Naturalnie, że przyciśnięta w ten sposób ofiara woli oddać zastaw, niż narazić się na zapłacenie 100 funt., szt. a oszust odchodzi żegnając go jak najgrzeczniej.

(Brigham Joung), prorok mormoński, tudzież czternaście jego żon i Georg A. Smith, który po nim piastuje najwyższą godność w kościele Mormonów, mają być za wielożeństwo stawieni przed wielkim sądem przysięgłych w Stanach zjednoczonych. Nie można ich jednak nigdzie znaleźć — powiada „Newyork Tribune.“ Tymczasem utrzymują Mormoni, że naczelnicy ich kościoła nie mają zamiaru unikać sądu, ale nie chcą się dać aresztować. Wzburzenie w Utai jest ogromne, i słychać, że jenerał mormoński, Clawron, zakupuje broń i amunicyą. Wielu niemormońskich mieszkańców Utai wysłało swoje rodziny w dalekie strony z obawy zatargów wojennych ze Stanami zjednoczonemi. — Dodatkowo dowiadujemy się jeszcze z „Newyork Times,“ że Brigham Young nie tylko jest oskarżony o wielożeństwo, ale także o morderstwo! Pewien jegomość, imieniem Hickman, został uwięziony i zeznał, że w r. 1857 z rozkązu naczelnego proroka zamordował w spółce z dwoma innymi niejakiego Echo Canona, i 900 dolarów, które przy nim znalazł, oddał prorokowi. Szkielet zamordowanego znaleziono na wskazanem miejscu, i także czaszka stwierdziła zeznanie oskarzyciela, że użyto drąga żelaznego do dokonania morderstwa. Brigham Young został też aresztowany dnia 2. października. Zwykły to koniec oszustów.

(Ocalenie przez pomyłkę). O szczególniejszym, smutnym wypadku donosi „Malta Times.“ Jakieś młode małżeństwo odbywało na greckim statku „Eunonia“ podróż weselną. W drodze zapalił się okręt; młody małżonek pełen rozpaczy wpada do kajuty, porywa swoję żonę i rzuca się z nią w wodę. Po przebyciu dość długiej męczarni i trwogi śmiertelnej została ta nieszczęśliwa para wydobyta z wody do czółna; ale jakież było przerażenie małżonka, gdy spostrzegł teraz, że ocalił życie jakiejś nieznajomej kobiecie; pod wpływem nagłego przestrachu pomylił się i wbiegł do innej kajuty. Biedak powrócił natychmiast do okrętu, ale niestety po to tylko, ażeby się dowiedzieć, że żona jego stała się pastwą płomieni! Ocalona zaś przypadkiem była to młoda dama z Ateni, i kto wie, czy nie zechce ona teraz własną osobą wynagrodzić swojemu wybawcy poniesionej straty...

(Tajemnice myśliwskie Indyan). Dzicy mieszkańcy południowej Ameryki używają podobnie jak Europejczycy psów do tropienia zwierzyny. Ale ponieważ ci ludzi żyją tylko z polowania, a są wogóle nie tylko wielkimi żarłokami ale i smakoszami, przeto nie zdają oni uczty swojej na przypadek, gdyż w takim razie mogliby po całych tygodniach a nawet miesiącach jadać jednakowe mięsiwo, lecz wychodzą zawsze na łowy z jakimś pewnym zamiarem. I tak jednego dnia polują na jelenie, inną razą są pewnego rodzaju ptaki, to znowu sarna lub małpa przedmiotem ich apetytu. Ażeby więc znaleźć to, czego pragną, przysposabiają przed wyjściem swoje psy, ażeby wietrzyły właśnie tę a nie inną zwierzynę. Do tego używają oni pewnych ziół, któremi tak długo łaskocą i nacierają psom nozdrza, aż sądzą, że uzyskały one już potrzebny węch, co niestety częstokroć dopiero wtedy następuje, gdy nos biednego psa starty został do krwi. Potem idą na polowanie i są pewni, że czworonożni ich pomocnicy wytropią tylko to zwierzę, którego szukają, a pominą każde inne. Tajemnicę tę zachowują oni ściśle dla siebie i nie zdradzają Białym ziół, które sprawiają tak cudowny skutek. Dla tego też nie zdołano dociec dotychczas, czy owe rośliny są ulubionym pokarmem szczególnych zwierząt, lub też czy tylko pewien rodzaj zwierząt może używać ich bez szkody?

(Udoskonalony balon). Żegluga napowietrzna zaczyna stawać się coraz pewniejszą i regularniejszą; i wkrótce już może będziemy mogli równie wygodnie podróżować powietrzem, jak po wodzie i na lądzie. W Moguncyi robiono niedawno próbę z przyrządem do kierowania balona, o której sprawozdawca gazety frankfurckiej donosi co następuje: Konstrukcya balona jest całkiem nowa i oryginalna; umieszczona u spodu maszyna gazowa służy do poruszania windy powietrznej, podobnej jak u paropływów śrubowych, w taki sposób, że maszyna zasila się sama gazem znajdującym się w balonie. Przedsiębrane próby okazały, że balon może być kierowany podług upodobania, gdyż leciał on nie tylko w prostej linii, ale dał się także zawracać dokoła. Szybkość modelu wynosiła sześć stóp na sekundę; na wolnem powietrzu byłaby ta szybkość większa lub mniejsza, w miarę tego, czy balon leciałby z wiatrem czy też przeciw wiatrowi. Maszyna sama jest bardzo lekka i zupełnie bezpieczna od ognia. Model jest bardzo duży; sam balon ma do 42 stóp długości; kształt jego jest jajowaty, a powłoka składa się z rodzaju masy kauczukowej. Pod tym balonem wisi na licznych sznurach mocna podstawa, na której zprzodu znajduje się maszyna gazowa z windą powietrzną, a na tyle stér, składająay się z rodzaju żagla. Cała manipulacya do poruszania i zatrzymywania balona ograniczała się na odkręcaniu i zakręcaniu kurka gazowego między maszyną i balonem.

(Dowcipne lekarstwo.) Doktor Cabarus, który w zeszłym roku umarł w Paryżu, był jednym z tych lekarzy, którzy są równie pożądani przy łożu słabości jak i w salonie, i którzy więcej działają wesołem usposobieniem swojem i dobrocią, niż lekarstwami. Zpowinowacony z Lessepsem, twórcą kanału sueskiego. i blisko spokrewniony z pewną familią książęcą w kraju, obracał on się przeważnie w kołach arystokratycznych, i one też uczuły najboleśniej jego stratę. Najlepiej charakteryzuje go następująca kuracya, którą zaraz na początku swej praktyki lekarskiej zrobił wielkie wrażenie: Księżna D., jedna z najbardziej uwielbianych dam dzielnicy St. Germain, cierpiała na urojenie, że połknęła żabę, i że to szkaradne zwierzę żyje w jej żołądku. Nie ma w tem nic nadzwyczajnego; podobne fiksacye zdarzają się często, a są nawet ludzie, którzy je podzielają. Otóż księżna pielęgnowała w pięknem łonie swojem żabę, czuła ją tam, i jej obecność pozbawiała ją spokojności, snu i zdrowia. Lekarze paryscy byli jednak do tego stopnia niebaczni i niedyskretni, że zaprzeczali istnienia tego zwierzęcia w żołądku — ignoranci! Biedna pacyentka cierpiała niesłychanie; aż szczęśliwym przypadkiem poznała dr. Cabarusa i zwierzyła mu się także ze swojem cierpieniem. Doktor Cabarus badał z całą powagą hipokratyczną pulsu pacyentki, pytał o rozmaite symptomy, a gdy nadobna fiksatka wyczerpała już wszelkie argumenta na udowodnienie swej słabości, rzekł młody lekarz po głębokim namyśle: „Nie ma wątpliwości, pani, żaba jest, i ja panią uwolnię od tego wroga.“ Zapisał jej potem niewinny emetyk, a sam poszedł do najbliższego ogrodnika i kupił małą żabę zieloną. Z tym sprzymierzeńcem w kieszeni wszedł do buduaru księżnej i przygotował miskę z wodą. Proszek skutkował; księżna zakrztusiła się. łzy stanęły jej w oczach, a doktor korzystając z tej chwili wpuścił żabę do miski. — Na widok żaby spadł księżnej kamień z serca, i odetchnęła głęboko. Naraz jednak zbladła nanowo i zachwiała się, a gdy przerażony doktor podparł ją swem ramieniem, zawołała rozpaczliwym głosem: „Doktorze, jeszcze nie jestem uleczoną, żaba zostawiła młode“! — „Ha“! — zawołał Cabarus niezdekoncertowany wcale tą nową przeszkodą — „zaraz się o tem przekonamy.“ — I oglądnąwszy z całą powagą żabę, położoną na ręce, dodał głosem stanowczym: „Pani, to być nie może, bo żaba ta jest — samcem.“

(Zajmujące kazanie). Pewien pleban żalił się swemu koledze, który go odwiedził, że parafianie jego mają brzydki zwyczaj, wychodzić z kościoła przed ukończeniem jego kazania. — „Mnie nie przytrafiłoby się coś podobnego“ — odrzekł kolega z całą pewnością. Pleban, wiedząc dobrze, że przyjaciel jego nie jest Ciceronem, ofiarował mu zakład w nadziei, że gość ze swojem kazaniem dozna takiego samego losu jak on. Kolega przyjął zakład bez wahania, i w następną niedzielę rozpoczął kazanie swoje takim wstępem: „Bracia w Chrystusie! Kazanie moje dzieli się na dwie części; pierwsza jest dla bezbożników, a druga dla sprawiedliwych. Rozpoczniemy pierwszą częścią.“ Ta była bardzo krótka i skończyła się następującą apostrofą; „A więc, wy zatwardziali grzesznicy, którzy bluźnicie Chrystusa i szydzicie z świętych nauki jego, wy pogrążeni w występkach bozbożnicy, — z wami już skończyłem. Możecie powstać i opuścić dom Boży, bo druga część mojej mowy jest poświęcona słuchaczom czystego serca.“! Nikt jednak z obecnych nie powstał, dopokąd kaznodzieja nie wyrzekł Amen; wszyscy byli czystego serca.

# Kącik humorystyczny „Strzechy.“

(Z teki Chochlika.)

## Wyjątki

z geografii królestwa Galicyi Lodomeryi

które to szacowne dzieło ma się niebawem ukazać w wydawnictwie dzieł tanich i pożytecznych.

Nazwa: Galicya czyli raczej Golicya ma nazwę od golizny, właściwej mieszkańcom tej błogosławionej krainy, — przyległa zaś Lodomerya czyli Głodomerya wywodzi swoje miano od Głodomerczyków, czyli istot mrących z głodu, takie bowiem jest główne zatrudnienie Golicyan i Głodomerczyków.

Granice: Obydwa te królestwa składają się z samych pięknych okolic, tworzących część tego padołu płaczu i zgrzytania zębów, a rozciągających się od północnych do południowych, i od wschodnich do zachodnich granic tych krain.

Pomiędzy Golicyą zaś i Głodomeryą nie ma żadnej granicy, i może każdy wolny Golicyanin bez zasięgnięcia poprzedniego pozwolenia władzy rządowej, przenieść się z stanu Golizny w stan Głodomarcia. Jestto jedna z głównych swobód konstytucyjnych tego szczęśliwego narodu.

Klimat: W skutek panujących tu na przemian wschodnich i północnych wiatrów, nie mają kraje te wcale stałego klimatu, tak iż mieszkańcy ziem tych nie wiedzą nigdy, z której strony płaszcz mają powiesić. Niektórzy geografowie utrzymują, że klimat ziem tych jest właściwie umiarkowanym, której to tezy jednakże, zważając na broszurę ks. Goljana pod napisem: Nasi moderanci, nie śmiemy wcale popierać.

Produkta: Głównym produktem Golicyi i Głodomeryi są figi z makiem. Oprócz tego jednakże produkują te kraje: konie, woły, kołtunów, osły, mameluków, kamasze, tromtadratów, anyżówkę, ferwaltungsratów, konopie, sieczkę, kłaki, hrabiów, gips, ultramontanów, komedyopisarzy, żołądź, liryków, kukurudzę, dziennikarzy, i różne inne rogate i nie rogate zwierzęta, któremi mieszkańcy ziem tych znaczny handel prowadzą za granicą.

Mieszkańcy: W Golicyi i Głodomeryi mieszka około pięć milionów mieszkańców, dzielących się na tyleż narodowości, pod względem stanu zaś na hrabiów i demokratów, tak iż można powiedzieć, że każdy Golicyanin nie — hrabia jest z pewnością demokratą. Pomiędzy tymi mieszkańcami są także i mieszkanki, należące przeważnie do słabej, a po części do pięknej płci. Młodość ich trwa zazwyczaj aż do dojrzałego wieku, którą to okoliczność umieją one bardzo zręcznie zataić. Doszedłszy do tego punktu, gdzie już dalsze tajenie staje się niemożliwem, oddają się Golicyanki zupełnie pobożności, piorunują na zdrożności młodego wieku, wyrzekają się czarta, balów, strojów i tańca, i trudnią się zbieraniem składek, robieniem plotek, i rozmaitemi pobożnemi uczynkami.

Golicyanie należą przeważnie do kościoła katolickiego, wszelakoż zalicza się wielka część ich do sekty ultramontańskiej, i wierzy w nieomylność Przeglądu lwowskiego, i w tym podobne gusła i zabobony.

Oświata stoi w Golicyi na bardzo wysokim stopniu, jedna bowiem część Golicyan rodzi się już Jaśnie Oświeconemi, druga zaś część świeci sobie sama dziurami u butów; oprócz tego świecą tam dziennikarze panom oczami, w skutek czego też świta w głowie całemu narodowi.

## Spotkanie.

Dawniej to śnili o szczęściu,
A w młodych było to latach,
O gwiazdach, niebie, miłości,
O wiośnie sercu i kwiatach,

Lecz kwiaty, serce i wiosnę
Zwarzył raz jeden dzień burzy...
Zerwać im z sobą kazano,
Nie mogli kochać się dłużej.

Więc starszych woli posłuszni
Młode marzenia rzucili,
I prawie życia połowę
Zdala od siebie spędzili. —

Aż gdzieś w kąpielach Alpejskich
Raz się spotkali przypadkiem,
On wielką świecąc łysiną,
A ona wdzięków ostatkiem

On się jej pytał o zdrowie,
O męża, niby nieznacznie,
A drzenie było czuć w mowie,
I patrzał na nią dziwacznie.

Ona dziękując uprzejmie,
A było to właśnie przy stole;
Czy woli krupki — pytała,
Czy też makaran w rosole.

Lecz w obojętnem pytaniu
Silniej jej usta zadrgały...
On, gdy brał od niej półmisek,
To pąsem oblał się cały.

Ona półszeptem wspomniała,
Że już dwie ładne ma córki,
Na co on pobladł i westchnął. —
Chwaląc kwaszone ogórki.

Mówili potem o świecie,
O latach minionych tylu...
O tabled'hotach w Badeniu,
Także o Suez i Nilu...

Ale on blednął i całą
Niebacznie mieszał rozmowę,
A ona miała łzy w oczach
I smutnie zwieszoną głowę.

„Co też tym dwojgu się stało?“
— Szeptano sobie do ucha,
„On prawi duby smalone
„A ona z płaczem je słucha!?“

M. Borejko.

## Z wilczego brewiarza.

Ciągle cnotę mają w uściech, —
Wszędzie z świętem oburzeniem
Widzą tylko grzech, zepsucie,
I w lot spieszą tam z kamieniem.

Czy wiesz czemu się zżymają
Na grzeszników tak ci święci?
Oto — pragnąc sami grzeszyć —
Chcą się pozbyć — konkurencyi! —

*

Nie do serca ludziom spiewaj
Młody wieszczu, — nie do ducha —
Gdy chcesz zdobyć dziś słuchaczów,
Musisz nucić — im do brzucha!

Brzuch ma także swoję tkliwość;
Wszechstworzenia ten diadem
Bywa nawet szczytnym, wzniosłym,
Zwłaszcza — na czczo, przed obiadem! —

### Ludowe przysłowie

Kto z panami nos swój mierzy,
Tego dola bywa smutną;
Gdy ma krótszy, to naciągną,
Jeśli dłuższy zaś, to go utną! —

# „Anegdoty Kącika."

Przy najmie pomieszkania.

— Oto zadatek...

— Czy mogę spytać, jaka godność?...

— N. N. literat...

— Li... te... rat...

— Czy może pani dobrodziejka nie lubi literatów?...

— O nie!... to jest... i owszem, przeciwnie!... Tylko widzi pan dobrodziej, panowie literaci lubią podobno chłód w pokoju...

— Ale bynajmniej, bynajmniej!... I owszem, bardzo mnie cieszy, jeżeli to ciepły pokój!...

— Tak!... to jest... widzi pan dobrodziej, jakby się w tym piecu dobrze nie paliło, to my byśmy nie mogli ograć przyległego pokoju...

W księgarni.

— Proszę pana, tu pan dziedzic napisał na karteczce, cobym kupił jakiegoś sionżkie...

— Oto jest...

— A co wun kosztuje?

— Dwa reńskie...

— Może pan spuści za reński?...

— Nie można...

— Ale kiedy wielmożny pan dziedzic, wun mi dał tylko jeden papierek.

— Cóż ja poradzę...

Chce odejść, potem wraca skrobiąc się w głowę.

— To niech pan da polówkie za tego papierka...




Panna. A — otoż to mi strój... pas słucki, karabela zapewne pradziadowska...
Elegant. O — przepraszam bardzo; u mnie wszystko nowe, i karabela prosto ze sklepu.

## Nowe przysłowia.

„Radźcie mi moi państwo, co mam zrobić — rzekła narzeczona — radźcie mi dobrze, tylko na miłość Boską nie odradzajcie mi.

„Dobrego nigdy nadto — rzekła dewotka i utopiła się w kazalnicy.

„Wszystko na świecie jest tylko przechodowym stanem — rzekł lis, kiedy mu skórę ściągano.

Trzebaż czasami pożartować — rzekł Iwaś, i pociągnął Marunię widłami.

Wszystko na świecie jest rzeczą przyzwyczajenia — rzekł piekarz i wymiotł kotem piec gorący.

**Rozwiązanie logogryfu zawartego w 12 zeszycie przeszłego rocznika.**

¹) Katarakta w Szafhuzie ²) katarakta Niagary ³) katarakta czyli bielmo ⁴) katar-akta ⁵) katar, oczyszczenie ⁶) KATA ⁷) Rata wspak atak ⁸) RAK ⁹) KA-TA-karta ¹⁰) TARAK-karat ¹¹) ARAK-arak ¹²) arak na opak kara ¹³) TA-TA-tata ¹⁴) TATAR tatar.

Wydawca i odpowiedz. za redakcyą F. H. RICHTER

Z DRUKARNI NARODOWEJ W. MANIECKIEGO